



PRÓBNY EGZAMIN ÓSMOKLASISTY



TESTY Z
ROZWIĄZANAMI
DZIŚ:
MATEMATYKA,
JUTRO:
JĘZYK POLSKI

Kultura

Powrót gigantów rocka

Płyta zatytułowana „Unlimited Love” naprawdę brzmi jak miłość do muzyki. Powrót gitarzysty Johna Frusciante do zespołu to zarazem powrót Red Hot Chili Peppers do formy ► 13

ROSYJSKA INWAZJA NA UKRAINĘ NA WYBORCZA.PL

**Aktualne informacje,
rzetelne analizy,
nieoczywiste opinie na
Wyborcza.pl**

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



Rosyjscy żołnierze masakrują ludność cywilną

Zbrodnie w Buczy

Egzekucje cywilów, gwałty i grabieże – takie są realia rosyjskiej okupacji Ukrainy. W odpowiedzi Unia Europejska zapowiada nałożenie na Rosję kolejnych sankcji

**Bartosz T. Wielński
Stanisław Skarżyński**

Gdy w sobotę do wyzwolonej Buczy, niespełna 30-tys. miejscowości na północno-zachodnich przedmieściach Kijowa, wkraczała ukraińska armia, ulice były dosłownie zasłane ciałami. Cywile mieli związane z tyłu ręce. Niektóre zwłoki leżały na ulicach od tygodni.

Część ludzi Rosjanie zamordowali tuż przed wycofaniem się. Żołnierze robili wówczas tzw. zaczystkę. Przeszukiwali dom po domu, szukając mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Ofiary zabijali po stalinowsku – strzałami w tył głowy. Część ciał Rosjanie zaminowali. Zabitych było więcej, niż były w stanie pomieścić trzy lokalne cmentarze. Władze Buczy postanowiły wykopać zbiorową mogilę. Złożono w niej szczytki 280 osób.

Strzelali do cywilów

Buczka, niegdyś spokojne i urokliwe miasteczko, była miesiąc pod rosyjską okupacją, tak jak sąsiedni Irpień. Jednak sygnały o rosyjskich zbrodniach docierają z Ukrainy od pierwszych dni wojny. Rosyjskie lotnictwo i artyleria ostrzeliwały dzielnice mieszkalne, szpitale i szkoły w obleganym od miesiąc



ca Mariupolu, w atakowanym Charkowie, Sumach czy Czernihowie.

Rosyjscy żołnierze, którzy rzekomo „denazyfikują” Ukrainę, strzelali do kolumn uciekających cywilów. Na ulicach Buczy świat zobaczył pełen obraz rozpętanej przez Rosję wojny. Podobne obrazy docierają z innych wyzwolanych przez Ukraińców miejscowości w obwodach kijowskim i czernihowskim.

Nie chodzi jedynie o egzekucje cywilów. Ukraińska prokuratura mówi o częstym wykorzystywaniu przez rosyjskich żołnierzy dzieci jako żywych tarcz. Do tego dochodzą informacje o gwałtach na Ukrainkach. I o masowych grabieżach. Ukraińcy przechwycili dziesiątki rozmów telefonicznych rosyjskich żołnierzy z żonami, którym chwala się, co udało im się wyszabrować. Ci, którzy zdołali uciec na Białoruś, wysyłają zrabowane przedmioty do Rosji pocztą

albo sprzedają na bazarach. Przy zabitych rosyjskich żołnierzach Ukraińcy znajdują zrabowane biżuterię, zabawki, sprzęt kuchenny.

Dalsze sankcje nadchodzą

Sankcje zapowiedział szef Rady Europejskiej Charles Michel. – Jestem wstrząśnięty obrazami okrucieństw popełnianych przez armię rosyjską w wyzwolonym regionie kijowskim. UE pomaga Ukrainie i organizacjom pozarządowym w gromadzeniu dowodów niezbędnych w sądach międzynarodowych do ścigania zbrodni – napisał na Twitterze, dodając, że „dalsze sankcje i wsparcie UE nadchodzą”.

Rozliczenia Rosjan za popełnione w Ukrainie zbrodnie wojenne domagają się: prezydent Francji Emmanuel Macron, kanclerz Niemiec Olaf Scholz i szef amerykańskiej dyplomacji Antony Blinken. A Carla Del Pon-

• **Ciała cywilów zastrzelonych przez rosyjskich żołnierzy w mieście Bucza** FOT. RONALDO SCHEMIDT / AFP / EAST NEWS

te, była główna śledcza trybunałów ONZ rozliczających zbrodnie ludobójstwa w b. Jugosławii i Rwandzie, domaga się, by przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym postawić rosyjskiego prezydenta Władimira Putina. – Putin to zbrodniarz wojenny. MTK powinien wydać nakaz jego aresztowania – oświadczyła.

W podobny sposób od tygodni o Putinie mówi prezydent USA Joe Biden. Przywódcy krajów UE powstrzymują się przed używaniem mocnych słów, bo ich zdaniem utrudniłoby to im dialog z rosyjskim prezydentem. ●

• **Komentarz ► 2**
• **Relacja świadka z Buczy ► 6**

Twój 1% ratuje zwierzęta

• Obecnie OTOZ Animals prowadzi 10 schronisk i przytulisk dla bezdomnych zwierząt, w tym przytulisko dla pokrzywdzonych koni i zwierząt gospodarskich Rogate Ranczo. W 2021 roku uratowaliśmy i znaleźliśmy nowe domy dla 4847 PSÓW, 2857 KOTÓW i 227 innych zwierząt oraz przeprowadziliśmy 5722 interwencji dotyczących niehumanitarnego traktowania zwierząt, podczas których odebraliśmy 2084 bitych, maltretowanych i głodzonych zwierząt.



• Środki finansowe ofiarowane zwierzętom przeznaczamy na utrzymanie naszych podopiecznych, wybudowanie nowych wybiegów w naszych schroniskach, zakup nowych bud, karmy, leków i szczepionek oraz wykonywanie specjalistycznych operacji ratujących życie bezdomnym zwierzętom.

Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt OTOZ Animals

Krajowy Rejestr Sądowy - KRS: 0000069730

Prosimy o wpisywanie w odpowiedniej rubryce PIT KRS naszej organizacji

Pobierz bezpłatny program do obliczenia PIT z naszej strony: www.animalsi.pl



Wojciech
Maziarski

Armia morderców

Masowo mordowani cywile, gwałcone kobiety, zrujnowane miasta i wsie, powszechne grabieże – obraz, jaki wylania się po odwróceniu oddziałów rosyjskich spod Kijowa, sprawia, że słowa więzną w gardle. Bo jak to skomentować? Jakich sformułowań użyć, by oddać skalę bestialstwa najeźdźców?

W ostatnich dekadach przyzwyczailiśmy się do myśli, że w świecie cywilizowanym nawet wojna rządzi się jakimiś zasadami. Jednak hordy Kremla pustoszące Ukrainę dowodzą, że w Europie wciąż mogą dziać się rzeczy, które dotąd znaliśmy tylko z podręczników historii. Bo przecież dzisiejsze zachowanie rosyjskich najeźdźców przywodzi na myśl relacje o zachowaniu wojsk sowieckich w podbitych Niemczech pod koniec II wojny światowej.

Tam jednak Armia Czerwona wkraczała na ziemię śmiertelnego wroga, który wcześniej napadł na Rosję. A tu żołdaci

Putina ponoć przyjechali pomagać ukraińskim braciom, wyzwalać ich i uwalniać od „nazizmu”. Bo Rosjanie i Ukraińcy to rzekomo jeden naród, na wieki związany przymierzem i bratnią miłością, wspólnie zamieszkujący „ruski mir”. Tak głosi propaganda Kremla.

Ta wojna jeszcze nie jest skończona. Ukraina wciąż walczy z rosyjską inwazją i czeka na nową ofensywę

O tym, jaka jest prawda i jak to wyglądało od środka, dowiadujemy się tylko dlatego, że ukraińska armia stawiała skuteczny opór i zmusiła najeźdźcę do odwrotu. Tylko dzięki temu dowody rosyjskich zbrodni wypływają na światło dzienne na masową skalę.

Jednak ta wojna jeszcze nie jest skończona, Ukraina wciąż walczy z rosyjską inwazją i czeka na nową ofensywę. Skóra cierpnie na myśl, że ostatecznie „ruski mir” może zatriumfować, a obywatele całej Ukrainy może spotkać taki sam los jak mieszkańcy Mariupola, Buczy, Irpienia.

Tu także historia podsuwa przerażające analogie i precedensy – wszak na początku lat 30. XX w., chcąc spacyfikować niepokorną prowincję, ówczesny władca Kremla Józef Stalin doprowadził tu do wielkiego głodu, którego ofiarą padły miliony Ukraińców.

Świadomość tego nakłada na państwa i obywateli Zachodu szczególny obowiązek – musimy bez najmniejszych wahań udzielić obrońcom Ukrainy wszelkiego możliwego wsparcia, tak by zdołali ocalić swą niepodległość. I życie. Po prostu. Bo Moskwa chce ich zamordować. ●

Siostrzeństwo Polsko-Ukraińskie

Kobiety jednoczą siły

Koalicja, w skład której wchodzi m.in. Olga Tokarczuk, Agnieszka Holland czy Janina Ochojska, rozdysponuje specjalne granty.

Sandra Zakrzewska

Od wybuchu wojny w Ukrainie miliony uchodźców szukają schronienia poza granicami kraju. Do Polski przyjechało prawie 2,5 mln osób. Większość z nich to kobiety i dzieci. Część Ukrainek znalazła już w naszym kraju zatrudnienie. Potrzebna jest jednak długofalowa i systemowa pomoc – aktywizacja zawodowa, stworzenie miejsc pracy czy wsparcie edukacji i kultury. W tym celu powstał Fundusz Wsparcia Kobiet i Dziewczyn z Ukrainy. To część inicjatywy „Cześć, Dziewczyno!” uruchomionej 8 marca przez Kulczyk Foundation. Fundacja gromadzi w ten sposób pieniądze na pomoc dla dziewczyn z Ukrainy i ich rodzin. Zbiórka jest prowadzona na kontach Kulczyk Foundation oraz na portalu Patronite.

Siostrzeństwo to krok dalej

Do tej pory udało już się zgromadzić prawie 1,5 mln zł, z czego milion przekazała prezeska zarządu Kulczyk Foundation Dominika Kulczyk.

Aby dobrze rozdysponować granty, do życia powołano Siostrzeństwo Polsko-Ukraińskie. To koalicja kobiet z Polski i Ukrainy, w skład której wchodzi z polskiej strony m.in.: Ewa Ewart, Henryka Bochniarz, Agnieszka Holland, Janina Ochojska czy Olga Tokarczuk, a z ukraińskiej m.in.: Iryna Deszczyca, Halyna Karp, Olha Matviienko, Oksana Zabuzko czy Irina Zapatrina.

– Obserwujemy ogromny zryw pomocy wobec ludzi z Ukrainy. Historia nie zapomni tego Polkom i Polakom. Pokazujemy serce i ogromne poświęcenie. Ale w ra-



• **Wolontariuszki na dworcu PKP we Wrocławiu pomagają uchodźcom**
FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

mach Siostrzeństwa chcemy pójść o krok dalej. Z jednej strony nagrodzić najbardziej innowacyjne pomysły. Z drugiej – realnie wesprzeć je finansowo. Zależy nam, by te projekty służyły długofalowemu wsparciu – mówi Henryka Bochniarz, przewodnicząca rady głównej Konfederacji Lewiatan.

– Dzięki Siostrzeństwu będziemy mogły wesprzeć przekazywanie środków na najlepsze projekty, które tej adaptacji posłużą. Dla ludzi z Ukrainy to bezcenna pomoc – mówi Iryna Deszczyca, żona ambasadora Ukrainy w Polsce.

W ramach konkursu grantowego Siostrzeństwo wybierze projekty wspierające inicjatywy społeczne, które mają poprawić sytuację ukraińskich kobiet i dziewczyn. Premiowane będą te pomysły, które już na szczeblu lokal-

nym oparte zostaną na zespołach stworzonych z Polek i Ukrainek.

Uruchomić efekt domina

– Z jednej strony inicjatywy te pomogą zdomowić się kobietom i dziewczynom z Ukrainy w Polsce, z drugiej – mogą uruchomić efekt domina, trwałą zmianę w ich rzeczywistości. Stawiamy na wspólnotowość, odzyskanie wolności i godności ekonomicznej. Zależy nam też na tym, by te środki trafiły do organizacji i inicjatyw na poziomie lokalnym – mówi Dominika Kulczyk. – Wierzymy, że nadszedł czas, by mówić o budowie wspólnego polsko-ukraińskiego społeczeństwa. Chcemy pomóc naszym siostrzom z Ukrainy odnaleźć w Polsce ich drugi dom. A jeśli zechcą, stworzyć im warunki, dzięki którym zostaną tu na zawsze – dodaje.

Siostrzeństwo Polsko-Ukraińskie swoją działalność zainauguruje dziś o godz. 16. W Pracowni Efektu przy ul. Ogrodowej 3 w Warszawie powstanie Centrum Obsługi Grantów, gdzie każdy będzie mógł przyjść i zapoznać się z zasadami ich przyznawania czy uzyskać pomoc w wypełnieniu wniosku. ●

Pełna lista sygnatariuszek
► [Wysokieobcasy.pl](https://www.wysokieobcasy.pl)

Ukraińki w Polsce potrzebują długofalowej i systemowej pomocy – aktywizacji zawodowej, miejsc pracy czy wsparcia edukacji i kultury

Andrzej rysuje



Mój Biznes

Jak postępować, jeśli dojdzie do zdarzenia z samochodem, który przyjechał z Ukrainy?



Czy wszystkie osoby uciekające przed wojną mają ubezpieczenie OC?
Czytaj jutro

Indonezja Początek ramadanu



2 kwietnia 2022 r. Dzieci w indonezyjskim meczecie Istiqlal (Dżakarta) podczas modlitwy tarawih. Muzułmanie na całym świecie obchodzą ramadan, czyli miesięczny ścisły post, podczas którego od świtu do zmierzchu powstrzymują się od jedzenia, picia, palenia i kontaktów seksualnych.

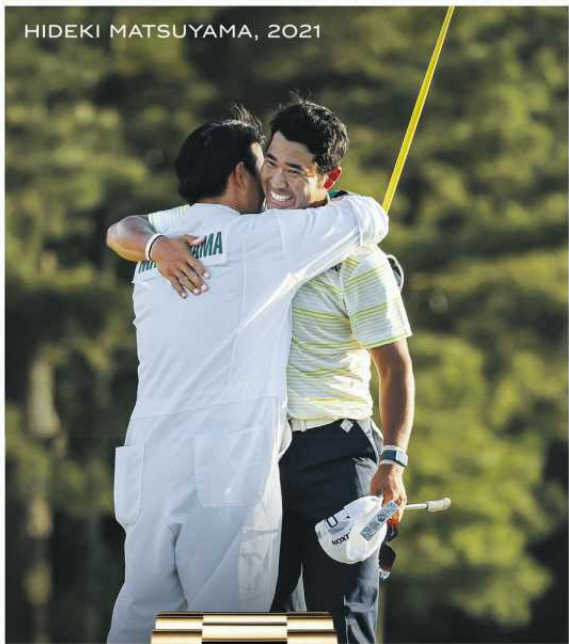
Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://www.wyborcza.pl/zdjecia)



TIGER WOODS, 1997



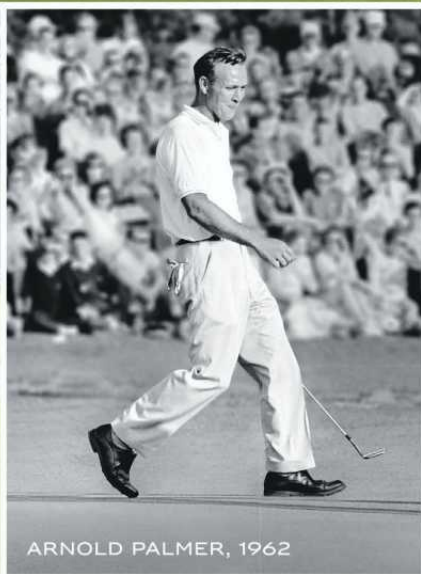
MOSTEK HOGANA



HIDEKI MATSUYAMA, 2021



16. DOŁEK



ARNOLD PALMER, 1962

SZEPTY I WRZAWA

To miejsce, gdzie tylko nieliczni mogą trzymać głowę wysoko. Ci, którzy słuchają „szeptów zieleni” i chylą czoła przed „wrzawą tłumów”. Tutaj tradycje sięgają tak głęboko, że tylko najbardziej godni zasługują na zwycięstwo. Pole jest wytyczone tak precyzyjnie, że tylko najbardziej zdeterminowani mogą mieć nadzieję na jego pokonanie. Tutaj nieliczni wybrańcy mogą odebrać lekcję mistrzostwa, która pozwala zmierzyć się z niemożliwymi przeciwnościami i obrać kurs na wygraną. Tutaj mogą odkryć prawdziwą siłę swojego charakteru. **Witamy na turnieju Masters.**

#Perpetual



OYSTER PERPETUAL DAY-DATE 40



THE MASTERS TOURNAMENT
AUGUSTA NATIONAL GOLF CLUB
7 - 10 KWIETNIA 2022



Ukraina potrzebuje broni

Dajmy Ukrainie nasze czołgi

– Ukraińcy ich potrzebują, żeby walczyć za wolność waszą i naszą. Gdy nasi czołgiści będą ruszali do walki, wolnej Ukrainy już nie będzie.

ROZMOWA Z
GEN. MIECZYŚLAWEM GOCULEM
b. szefem Sztabu Generalnego WP

PAWEŁ WROŃSKI: Prezydent Zelen-ski po odzyskaniu miejscowości na zachód od Kijowa – Irpinia, Buczy i Hostomla – wcale nie okazywał triumfu. Mówił o czekającej Ukrainę kolejnej walce oraz o tym, że na wschodzie sytuacja staje się niesłychanie trudna.
GEN. MIECZYŚLAW GOCUŁ: Mamy niewiele potwierdzonych informacji, ale ogólny obraz jest taki, że Rosjanie wycofują się z okolic na zachód od Kijowa. Na wschód od stolicy, szczególnie w okolicy Czernihowa, aktywność rosyjska jest większa. Zapewne po to, aby w tym rejonie związać jednostki ukraińskie.

Istotna jest odpowiedź na pytanie, czy tam dochodzi do wycofania, czy luzowania jednostek. Luzowanie oznacza, że jednostki świeże zastępują te wyczerpane bojem, które odchodzą w celu uzupełnienia zapasów i odtworzenia wartości bojowej. Skoro rosyjskie jednostki są wycofywane i przegrupowywane, to oznacza, że Rosja nie ma odwodów bliższych, aby uzupełnić straty. Potrzebuje czasu.

Liczby wyglądają imponująco. Rosja ma obecnie 261 tys. poborowych: 127 tys. z poboru jesienno i 134 tys. z wiosenne-go. Ale tak naprawdę gotowych do walki jest niewiele sił, bo 134 tys. żołnierzy z poboru wiosennego powinno wrócić do domu po rocznej służbie wojskowej, a reszta rezerwy, tj. około 2 mln byłych poborowych, jest nieprzeszkolona. Do wykorzystania na kierunku zachodnim po mobilizacji jest jakieś 5 tys. żołnierzy poddanych szkoleniu w ostatnich latach. Reszta jest nieprzeszkolona.

Rosja szykuje ofensywę
Na czym polega owa „niesłychanie trudna sytuacja na wschodzie kraju”, o której mówił prezydent Zelen-ski?

– Czy zwrócił pan uwagę na zacięte walki w okolicy miejscowości Iziom na południe od Charkowa?

Tak, podobno z powodu zdrady kilku miejscowych polityków wojska rosyjskie cztery dni temu ominęły pozycje ukraińskie.

– W rękach rosyjskiej armii jest część miasta, budowana jest przeprawa przez rzekę. To naturalna pozycja obronna, na wzgórzach nad rzeką Doniec, gdzie fortyfikacje budowano jeszcze w XVIII wieku, w czasie wojen z Turkami. Jej ominięcie daje Rosjanom możliwość wyjścia na otwarte, pozbawione przeszkód tereny stepowe i kontynuowanie natarcia w stronę Kramatorska. Oznacza to wyjście na tyły 30-40-tys. zgrupowania

wojsk ukraińskich, które stoi frontem w kierunku republik Donieckiej i Ługańskiej. W tym kierunku możliwe jest równoczesne koncentryczne natarcie wojsk rosyjskich, które ruszyły z Krymu, z rejonu obleżonego Mariupola i zajętego już przez Rosjan Melitopola. Ten koncentryczny atak doprowadziłby do okrążenia sił ukraińskich.

Co to oznacza?

– Rosjanie mogą osiągnąć przy pomocy tej operacji cel minimalny i maksymalny. Maksymalny: po rozbiciu tego zgrupowania ukraińskich wojsk mogą ruszyć w kierunku Dniepropetrowska, a nawet południowego Kijowa, od strony południowo-wschodniej, dotychczas, zdawałoby się, bezpiecznej. Być może dlatego siły rosyjskie utrzymywane są na wschód od Kijowa, a nie na zachód. Wariant minimalny: po okrążeniu i rozbiciu zgrupowania ukraińskiego w okolicy Kramatorska i Słowińska może nastąpić próba opanowania całych obwodów donieckiego i ługańskiego w administracyjnych granicach. Do tego dochodzi zdobycie pasa ziemi wzdłuż Morza Azowskiego, łączącego Krym z Rosją, czyli obszaru, na którym broni się ostatkiem sił Mariupol.

Do tej pory ofensywy rosyjskie w Ukrainie miały umiarkowane powodzenie.

– Tyle że – pomijając wszelkie błędy rosyjskiego dowództwa – toczyły się na obszarze dość niekorzystnym z punktu widzenia użycia sprzętu pancernego. W terenie zadrzewionym, zindustrializowanym, zamieszkanym, gdzie pełno jest różnych cieków wodnych. W takich warunkach nawet pojedynczy żołnierze są w stanie podejść z wyrzutnią przeciwpancerną. Widać wyraźnie, że rosyjscy żołnierze i dowódcy byli nieprzeszkoleni i w pierwszym etapie formowali kolumny, którymi wojsko przemieszcza się w czasie pokoju.

Na południu sytuacja jest inna. To otwarty teren stepowy, gdzie toczyły się wielkie bitwy pancerne II wojny światowej. W takich warunkach atakujący siłami pancernymi, który ma dodatkowo przewagę w powietrzu, wsparcie lotnictwa i śmigłowców, zyskuje zdecydowaną przewagę. Mówi się, że Rosja ma obecnie 23 tys. czołgów. Oczywiście część z tego stoi na kółkach, ale jakieś 1 tys. nowoczesnych czołgów na pewno ciągle ma. Jest w stanie przygotować 20-30-tys. korpus. Ukraina ma ograniczone zasoby. Jeśli na czas nie otrzyma wsparcia, to bitwę w takich warunkach przegra.

Dajmy Ukraińcom nasze czołgi
Były głównodowodzący siłami USA w Europie gen. Frederick „Ben” Hod-

• **Wojska ukraińskie na obrzeżach Kijowa** FOT. VADIM GHIRDA / AP



ges, który świetnie orientuje się w europejskich realiach, napisał niedawno, że tracimy czas, w którym Ukraina ma szansę pokonać Rosję. Wojskom ukraińskim potrzebny jest ciężki sprzęt do przełamywania przeciwnika oraz amunicja 122 i 152 mm.

– W pełni się z tym zgadzam. Uważam, że należy czym prędzej Ukrainę maksymalnie wzmocnić, by wyzyskać ten mo-

ment słabości Rosji. Przekazać np. polskie zmodernizowane czołgi T-72 oraz inny sprzęt wojskowy. Te czołgi są przeznaczone do obrony Polski. Lepiej, aby mogli je wykorzystać walczący z armią Putina Ukraińcy, walcząc teraz za wolność waszą i naszą w Ukrainie, niż my na terenie Polski. Bo jeśli w przyszłości dojdzie do tego, że nasi żołnierze będą wsiadać do tych czołgów w obronie Polski, to wolnej Ukrainy już nie będzie.

Tylko że propozycja przekazania nawet 50 zmodernizowanych T-72 wywoływała sprzeciw. Pojawiały się argumenty, że jest to eskalacja konfliktu, że Rosja może w jakiś sposób odpowiedzieć.

– My nie podchodzimy racjonalnie do tego konfliktu. Ukraina nie jest krajem, który byłby objęty jakimikolwiek sankcjami. Nikogo nie napadł, ale został napadnięty przez Rosję. Ma prawo bronić swojej niepodległości i swoich obywateli. Dlatego każde państwo ma prawo sprzedać albo przekazać Ukrainie każdy rodzaj uzbrojenia.



Ukraina nie jest krajem, który byłby objęty sankcjami. Ma prawo bronić swojej niepodległości. Dlatego każde państwo ma prawo sprzedać albo przekazać jej każdy rodzaj uzbrojenia

GEN. MIECZYŚLAW GOCUŁ

Sytuacja na froncie w Ukrainie



ŹRÓDŁO: INSTITUTE FOR THE STUDY OF WAR (STAN Z 2.04.2022 R.)

Ukraina potrzebuje broni



Broń pancerna w Polsce

Polskie siły zbrojne posiadają w tej chwili trzy typy czołgów:

T-72 – 300 sztuk
• Czołg konstrukcji radzieckiej, produkowany od początku lat 70. do lat 90. Część wyposażenia armii ukraińskiej, czeskiej, białoruskiej. Uzbrojony w armatę kaliber 125 mm i przeciwlotniczy karabin maszynowy.

PT-91 „Twardy” – 232 sztuki
• Zmodernizowana wersja T-72, wyposażona w pancierz reaktywny (rozprasza energię pocisku) i system kierowania ogniem DRAWA. Czołg ma armatę 125 mm i dwa karabiny maszynowe, w tym jeden przeciwlotniczy.

Leopard 2 – 249 sztuk
• Najnowocześniejsze jak dotychczas czołgi w zasobach polskiej armii, pozyskane od Niemiec. Cyfrowy system pro-



wadzenia ognia, armata 120 mm, dwa karabiny maszynowe.

Osobnym tematem jest **Abrams M1A2 SEPv3 – 250 sztuk**
• Na sprzedaż amerykańskiego uzbrojenia zgodził się w ubiegłym roku Departament Stanu USA. To najwyższy kontrakt zbrojeniowy w historii polskiej armii – czołgi kosztują ponad 23 mld zł i mają być rozlokowane na wschód od Wisły. Abramsy są produkowane przez koncern General Dynamics i należą do najnowocześniejszych czołgów na świecie. Pierwsze czołgi mają pojawić się w Polsce jeszcze w tym roku.

Wsparcie militarne
Ukraina dostanie czołgi od krajów NATO

Waszyngton zdecydował się pośredniczyć w przekazaniu Kijowi maszyn znanych ukraińskim żołnierzom – dowiedzieli się dziennikarze „New York Timesa” od źródła w Białym Domu.

O przekazanie Ukrainie czołgów zwrócił się do zachodnich sojuszników prezydent Ukrainy Wołodymyr Zelenski, który nie krył frustracji z powodu przeciągających się analiz po stronie państw NATO.

– Gdyby tylko ci, którzy od trzydziestu jeden dni myślą o tym, jak przekazać myśliwce i czołgi, mieli jeden procent odwagi obrońców Mariupola, z którymi dziś rozmawiałem... – narzekał Zelenski.

Na Zachodzie jednak dominowało przekonanie, że kilkadziesiąt samolotów radzieckiej pro-

dukcji nie zmieni radykalnie sytuacji na korzyść Ukrainy, a niesie za sobą duże ryzyko eskalacji konfliktu na poziomie Rosja – NATO. Na tej podstawie Waszyngton zablokował plany przekazania Ukrainie samolotów radzieckiej produkcji będących na wyposażeniu polskich sił zbrojnych.

Walka o Donbas
W przypadku czołgów sytuacja jest jednak odmienna. Moskwa po porażce w ofensywie na północy i południowym zachodzie chce przegrupować swoje siły, by skoncentrować ofensywę w Donbasie we wschodniej Ukrainie. Tam czołgi umożliwiające Ukraińcom prowadzenie ostrzału artyleryjskiego na długim dystansie będą miały olbrzymie znaczenie strategiczne. Jednocześnie

Ukraińcom bardzo brakuje tego typu sprzętu – choć od początku wojny Ukraińcy mieli zdobyć na Rosjanach aż 160 maszyn, to jednocześnie ukraińskie siły pancerne poniosły duże straty.

Czołgi z ZSRR
Dlatego Biały Dom miał zdecydować o pośredniczeniu w przekazaniu ukraińskim siłom zbrojnym czołgów radzieckiej produkcji będących wciąż na wyposażeniu armii państw na wschodniej flance Sojuszu – takie informacje dziennikarze uzyskali od źródła w Białym Domu. Nie wiadomo jeszcze, ile czołgów ma dostać Ukraina ani skąd miałyby pochodzić. Nie wiadomo też, co USA zaofiarują sojusznikom w zamian za poradzieckie maszyny. ●
Stanisław Skarżyński

nia. Oczywiście to wszystko powinno być wcześniej uzgodnione w ramach NATO i powinno odbyć się po cichu. Tak, aby inicjatywa nie została spalona, jak sprawa przekazania migów-29 albo jak nieuzgodniona propozycja operacji pokojowej NATO. Wygrana Ukrainy ma fundamentalne znaczenie z punktu widzenia naszego interesu narodowego.

A co do eskalacji: gdy patrzę na bestialstwo, z jaką Rosja prowadzi tę wojnę, to zastanawiam się, jaka może być ze strony Rosji większa eskalacja.

Ukraina ma głównie czołgi T-64 i T-80, produkowane w zakładach w Charkowie. T-72 to inna konstrukcja. Powstała w Niżnym Tagile. Pan jest pancernikiem. Na ile na przeszkodzie stoją względy techniczne?
– Różnice są tak naprawdę niewielkie. Ukraina też ma niewielką liczbę T-72. Najważniejsze, że działo 2A46M kalibru 125 mm jest dokładnie takie samo w czołgach T-72, jak i w czołgach ukraińskich.

Nie mamy do niego amunicji przeciwpancernej.
– Po pierwsze, amunicją przeciwpancerną być może dysponuje Ukraina. Po drugie, mamy potężny zapas amunicji odłamkowo-burzącej. Ta może być używana na polu bitwy wobec transporterów opancerzonych, siły żywej.

Co jeszcze można przekazać
W mediach pojawiają się informacje, że Niemcy być może przekażą Ukrainie czeskie BWP-1, Amerykanie negocjują sprawę czołgów, a Brytyjczycy być może przerzucą swoje działa samobieżne AS-90. Na ile to może zmienić sytuację?
– My też moglibyśmy przekazać Ukrainie batalion naszych BWP-1. One mają niewielką siłę ognia, ale mogą ją wzmocnić żołnierze wykorzystujący pociski ppk. Ukrainie teraz potrzebne jest wszystko, co wzmocni siłę ognia i manewrowość ich wojsk. Proszę mnie dobrze zrozumieć – 50 polskich T-72 nie będzie decydowało o wyniku tej wojny, ale może w danej chwili mieć ogromne znaczenie operacyjne. Powinniśmy w tej sprawie wykorzystać art. 4 traktatu waszyngtońskiego dotyczący konsultacji i permanentnie naciskać na NATO i naszych sojuszników, dysponujących postradzieckim sprzętem, by maksymalnie wsparli Ukrainę. I to teraz.

Zaatakowany został rosyjski skład paliw w Białgorodzie, 40 km od granicy. Ukraińcy się nie przyznają, ale zdaniem Rosji to był wynik ostrzału ze strony dwóch śmigłowców Mi-24. My też mamy Mi-24, a najwyraźniej Ukraińcy potrafią je wykorzystać.
– Tyle że nie mamy do nich pocisków kierowanych. Próbowaliśmy je pozyskać i, jak przypuszczam, pytaliśmy o to rów-

nież w Ukrainie. Bez rezultatu. Wydaje się, że gdyby Ukraina dysponowała śmigłowcami uderzeniowymi, to ta wojna wyglądałaby zupełnie inaczej. Te rozciągnięte kolumny rosyjskich czołgów były doskonałym celem.

My, konstruując nasz program śmigłowcowy, ograniczyliśmy z 70 do 50 zakup śmigłowców bojowych Caracal właśnie dlatego, by uruchomić program zakupu śmigłowca atakującego Kruk. Gdyby te plany zostały zrealizowane, teraz byłibyśmy w innym momencie.

Ile Ukraińcy mają czasu na przygotowanie się do odparcia kontrofensywy?
– Niewiele. Maksymalnie dwa-trzy tygodnie, przy czym Rosjanie będą stosować permanentny nacisk. Do tej pory, z wyjątkiem frontu południowego, wyglądało na to, że rosyjscy generałowie nie bardzo wiedzą, co mają atakować, i na początku wydawało się, że sami nie do końca wierzą w wojnę. Dlatego decyzje o dozbrojeniu Ukrainy powinny zapadać jak najszybciej. W ciągu dwóch-trzech dni. W ciągu tygodnia to uzbrojenie powinno już być w Ukrainie.

Zwodniczy brak sukcesów
Na samym początku wojny gen. Mieczysław Cieniuch mówił, że na przeszkodzie organizacji sił rosyjskich stoi niebywała korupcja. Być może orga-

nizowanie kolejnej ofensywy utknęło w rosyjskim bałaganie.
– Na to bym teraz nie liczył. Morale sił rosyjskich jest niskie, ale Rosjanie potrafią wyciągać wnioski. Co do korupcji, to nie negując opinii generała Cieniucha, chciałbym przypomnieć, że ci żołnierze kilka miesięcy w zimie stali u granic Ukrainy. Musieli czymś się ogrzewać. Odpalali czołgi, palili na ropie ogniska i ostatecznie naruszyli rezerwy. Dowódcy zaś o brakach bali się raportować.

Jak długo będzie trwała wojna w Ukrainie? Wedle pogłosek z Rosji miałyby się skończyć 9 maja.
– To optymistyczne nadzieje Rosjan. Oczywiście wszyscy chcemy, by skończyła się jak najszybciej, a będzie to możliwe, jeśli Europa i Stany Zjednoczone będą wspierać Ukrainę sprzętem ciężkim. Jeśli my wyślemy tam nasze T-72, to wojna skończy się szybciej. Trzeba jednak pamiętać, że wojna w Ukrainie trwa już od 2014 r., od aneksji Krymu i próby oderwania Ługańska i Doniecka.

I zdążyliśmy zapomnieć, że ona trwa.
– Ukraina to spichlerz. Brak pszenicy i oleju słonecznikowego, którego jest producentem, to wzrost cen żywności i możliwość niepokojów na całym świecie, szczególnie w krajach arabskich. Ta wojna nie da o sobie zapomnieć. ●

wyborcza.pl
Więcej na
Wyborcza.pl



Nowa PSYCHOLOGIA
DLA RODZICÓW już w sprzedaży!

Depresja u nastolatków. Jak im pomóc i kiedy reagować?

Potwory w szafie. Dlaczego bagatelizujemy stres u naszych dzieci

Dlaczego nie chcesz spać? Dobre nawyki związane ze snem

Ocalały z Buczy: Nic nie chroniło przed rosyjską armią

ATAK NA UKRAINĘ

– Nie wychodziliśmy z podwórza, bo wiedzieliśmy, że osoby, które przemieszczają się po ulicach, są rozstrzeliwane – mówi Igor Ejsmont, który wraz z rodziną przeżył masakrę w Buczy.

ROZMOWA Z
IGOREM EJSMONTEM
adwokatem

WIKTORIA BIELIASZYN: Mieszka pan w Buczy.

IGOR EJSMONT: Mieszkalem do 9 marca. Tego dnia podjąłem z rodziną decyzję, że nie możemy już dłużej znieść tego, co się dzieje. Zrozumieliśmy, że jeśli zostaniemy w mieście, zginieemy, bo do schronu, w którym się ukrywaliśmy, w końcu dostaną się rosyjscy żołnierze i wszystkich nas rozstrzelają. Musieliśmy spróbować się ratować. Udało się.

Co działo się po wybuchu wojny?

– Od 24 lutego przebywaliśmy w schronie z naszymi synami. Młodszy ma pięć lat, starszy – dziesięć. Pierwszego dnia wojny o świcie obudziły nas telefony od bliskich i rodziny z informacją, że zaczęła się wojna. Chwilę później, o piątej rano, usłyszeliśmy bombardowanie i ryk samolotów ostrzeliwujących osiedla przy pobliskim lotnisku, na przedmieściach. W południe całe to osiedle stało w płomieniach. Zdecydowaliśmy się ukryć w piwnicy, choć nie myśleliśmy wtedy, że spędzimy w niej dwa tygodnie, ale cały czas trwało bombardowanie, nie było innego wyjścia.

Co działo się po wejściu do miasta rosyjskich wojsk?

– Rosjanie weszli do Buczy 26 lutego. Nie dało się wtedy opuścić miasta, bo wkraczali z różnych stron, odcinając nam drogę ucieczki. Dzień później, 27 lutego, w mieście nie było już elektryczności i wody, bo rosyjskie wojska specjalnie ostrzelały wieże i rurociągi. Rosjanie oglądający telewizję wierzą, że ich wojska ostrzeliwiają tylko obiekty wojskowe. A ja na własne oczy widziałem nie tylko jak rosyjscy żołnierze strzelali w ludność cywilną czy domy mieszkalne, ale też, że robią wszystko, by uniemożliwić nam przeżycie.

Jak wyglądało życie w schronie?

– Nie mieliśmy wody, światła, jedzenia. Było nas tam najpierw sześćdziesięcioro, później, gdy ostrzeliwać zaczęły domy w centrum, przyszli też do nas ludzie, którzy wcześniej ukrywali się na pierwszym i drugim piętrze budynku. W krytycznym momencie w naszej niewielkiej piwnicy było ponad 100 osób. Spaliliśmy na ziemi, na podłodze.

Kobiety, dzieci i wielu mężczyzn nie wychodziło na powierzchnię, bo nie ucihały strzały. Byliśmy brudni, wszelkie potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy do jednego wiadra, później – do reklamówek. Od czasu do czasu, kiedy robiło się ciszej, wychodziłem z grupą kilku innych mężczyzn na podwórze, żeby przygotować resztki żywności, zagotować wodę na ruszcie ustawionym nad ogniskiem. Czasami ziemia trzęsła się od wybuchów tak, że cały wrzątek wylewał się, za nim doniosłem go do piwnicy.



• Złotki cywila w Buczy, 2 kwietnia 2022 r. FOT. VADIM GHIRDA / AP

*Wiem od kolegi,
że na sąsiednim osiedlu
kadyrowcy, czyli żołnierze
czeczeńscy, zgwałcili
i powiesili kilkanaście
dziewcząt*

Widzimy dzisiaj drastyczne zdjęcia z Buczy.

– Ja widziałem to wszystko na żywo, kiedy ewakuowaliśmy się z miasta. Ciała dorosłych i dzieci, kobiet, mężczyzn, starców. Kawalki ciała zjadane przez psy. Ostrzelane samochody, w których byli zabici ludzie. Przejeżdżając z dziećmi, prosiłem je, by opuściły głowy. Nie chciałem, by to wszystko zobaczyły.

A w czasie, kiedy byli państwo jeszcze w schronie?

– Nie wychodziliśmy z podwórza, bo wiedzieliśmy, że osoby, które przemieszczają się po ulicach miasta, są rozstrzelywane. Bez słowa. Widziałem ludzi leżących na ziemi, martwych, w kałużach krwi. Ludzie mieli nadzieję, że białe wstążki uchronią ich przed kulami, ale szybko okazało się, że to na nic. Rosyjskie wojska nie zwracały na nie uwagi.

Co jeszcze pan widział?

– Wiem od kolegi, że na sąsiednim osiedlu kadyrowcy, czyli żołnierze czeczeńscy, zgwałcili i powiesili kilkanaście dziewcząt.

Na prywatnych osiedlach było najgorzej. Ludzie mieszkający we własnych domach, a nie w blokach czy kamienicach, byli bezradni. Kadyrowcy wchodzili do domów, zabijali męża, żonę gwałcili i też zabijali. Ludzie nie mieli gdzie się schronić, nie mieli wsparcia. Nam przez to, że było nas dużo, było łatwiej. Wzmacnialiśmy drzwi, zrobiliśmy nawet zasuwę i dzięki temu nikomu nie udało

się do nas dostać, choć nocami żołnierze się dobijali, próbowali je wyłamać.

Jak to możliwe, że udało się państwu wydostać z Buczy?

– 9 marca do naszej piwnicy przyszedli sąsiedzi z bloku obok. Powiedzieli, że będzie ewakuacja kobiet i dzieci. Żona powiedziała, że nigdzie beze mnie nie pojedzie. To samo mojemu mężowi powiedziała przyjaciółka mojej żony. Razem z jej mężem zdecydowaliśmy się wyjść ze schronu, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądała ewakuacja. Dużo ludzi próbowało wtedy uciekać prywatnymi samochodami, mimo że żołnierze rosyjscy podkreślali, że nie będą ich przepuszczać. Stwierdziłem, że skoro inni widzą w tym sens, to i my musimy spróbować.

Co było dalej?

– Poszedłem z młodszym synem na parking. Okazało się, że mój samochód ocalał i że wyjazd z parkingu jest zablokowany przez rosyjskich żołnierzy. Powiedziałem dziecku, żeby podniosło ręce do góry. Sam zrobiłem to samo. Dzisiaj myślę, że nie rozstrzelali mnie tylko dlatego że byłem z synkiem. Wyjechaliśmy, nikt w nas nie strzelał.

Czy zapowiadana ewakuacja rzeczywiście się odbywała?

– Autobusy, które miały przyjechać do miasta po kobiety i dzieci, nie zostały przepuszczone przez rosyjską armię. Był tylko mały busik. Kierowca tego busiku ruszył, za nim ja z rodziną, rodzina przyjaciółki żony i jeszcze kilka innych samochodów. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Przejechaliśmy bez problemów przez pierwszy posterunek, na drugim rosyjski żołnierz zażądał ode mnie zegarka. Powiedziałem, że nie mam, bo nie zdążyliśmy nic zabrać. Przepuścił nas, przepuścili też na trzecim posterunku. Na czwartym zrobili nad pełną rewizję samochodu. Na piątym Rosjanie zaczęli krzyczeć: „Dokąd oni wszyscy jadą?! Mają pełne samochody ludzi!”.

Co pan wtedy zrobił?

– Dodalem gazu. To samo zrobił samochód jadący tuż za mną. Kolejnemu się to nie udało.

Później żona przeczytała na lokalnym czacie naszego miasta, że na jednym z posterunków rozstrzelali rodzinę: mamę i tatę, a ich czteroletniego synka zranili. Nie wiem, co stało się z innymi. Nam udało się uciec.

Mówił pan, że w Buczy byli kadyrowcy. Kogo było więcej: rosyjskich żołnierzy czy czeczeńskich?

– Trudno mi ocenić, bo oprócz kadyrowców i Rosjan byli też funkcjonariusze białoruskiego specnazu.

Jest pan tego pewien? Aleksander Łukaszienka twierdzi, że jego wojska nie biorą udziału w działaniach wojennych.

– Na sprzecznię wojskowym były trzy symbole. Z oznacza rosyjską armię, V – kadyrowców, a kółeczko albo zero, nie jestem pewien, to białoruskie wojska, które dołączyły później. Jestem tego pewien. Informowała też o tym rada naszego miasta. Sekretarz rady miejskiej Buczy ujawnił w jednym z wywiadów, że w Buczy walczą też Białorusini.

Kto odpowiada ze najbardziej brutalne czyny, których dopuścił się agresor?

– Wszystko zależy od człowieka, nie od jego pochodzenia. Kiedy siedłem z dzieckiem po samochód z podniesionymi wysoko rękami, rosyjski żołnierz dał mi znak, że wszystko w porządku. Przekonałem się o tym też na posterunkach: na jednym przepuszczali nas normalnie, bez słowa, na drugim – krzyczeli i żądali zegarka, na trzecim – rosyjski żołnierz, widząc, jak moja żona płacze i modli się, próbował ją uspokoić, mówił, że nic jej nie grozi, że zaraz będziemy mogli odjechać. Nie mogę powiedzieć, że to Rosjanie są zli albo kadyrowcy, albo Białorusini. Zależy od człowieka.

Co stało się z państwa domem?

– Jeszcze nie wiem. Dopiero 31 marca do Buczy weszli nasi żołnierze, ale do wtorku będzie trwać proces rozbrajania miasta, usuwanie min i ciał. Na razie jesteśmy poza Buczą, pomagamy walczącym i ofiarom wojny, organizujemy pomoc humanitarną. ●

Rozmawiała Wiktoria Bielaszyn

Wybory parlamentarne na Węgrzech

Opozycja zrobiła wszystko, żeby wygrać. Ale pewnie przegra

Wygranie z Orbánem w warunkach, jakie stworzył na Węgrzech, jest bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.
Jego wygrana w niedzielę może pogrzebać szanse opozycji na wiele lat

Kokot

Czy Węgry są jeszcze demokracją? Wydarzenia poprzedzające niedzielne wybory parlamentarne na Węgrzech raczej wskazują na demokrację fasadową. Cokolwiek by zrobiła węgierska opozycja, Orbán i tak będzie górą.

Węgierski premier przez ostatnie 12 lat tak scementował władzę, że wyszarpać mu ją będzie niezwykle trudno. Nagiął przy tym lub złamał prawo, nie wspominając o dobrych obyczajach i zasadach. Walka, którą toczy z nim opozycja, jest nierówna.

To nie jest kwestia lepszej oferty programowej, która czyni partię Orbána bardziej popularną, choć nie można mu odmówić sprytu i refleksu. Gdy wybuchła wojna w Ukrainie, udało mu się uniknąć wejścia w pułapkę, jaką zastawiła na niego opozycja. Orbán nie tłumaczył się nawet z tego, że jest przyjacielem Putina i odgrywa rolę jego piątej kolumny w Europie, co zarzucają mu politycy opozycji. Kontratakował i uniknął reakcyjności. Oskarżył polityków opozycji o próbę wciągnięcia Węgier w krwawy konflikt, bo ci opowiadają się po stronie Zachodu i godzą na dostarczanie broni do kraju. Stwierdził, że to nie wojna Węgrów i że lepiej, aby się trzymali od niej z daleka.

Gra na lękach. Orbán zna swój naród jak mało kto i często wie, w jaki ton uderzyć, by utrzymać popularność. Wie, że większości Węgrów nie interesuje polityka zagraniczna. A jeśli są wrażliwi na to, co dzieje się poza ich granicami, to myślą o Rumunii, Ukrainie czy Serbii przez pryzmat zamieszkałej tam mniejszości węgierskiej.

Węgierski premier wie, że w społeczeństwie, a zwłaszcza na prowincji wciąż pokutuje mit Węgier rozgrywanych historycznie przez wielkie mocarstwa i tajemne siły. Dlatego tak chętnie podsyca wszelkie możliwe teorie spiskowe, dzięki którym wygrywa wybory (np. o planie anihilacji kulturowej Węgier przez Sorosa i Brukselę).

Dylematy moralne w związku z wojną w Ukrainie i przyjaźnią z Putinem? To dobre dla elity intelektualnej i mieszkańców Budapesztu. Orbán już dawno postawił na stolicy krzyżyk. Wprawdzie odebranie jej przez opozycję w 2019 r. było prestiżowym ciosem, ale wybory na Węgrzech wygrywa się głosami prowincji. Po 12 latach rządów Orbán nawet nie udaje, że zabiega o głosy inteligencji. Dzisiaj przeciętny wyborca Fideszu to mieszkaniec wsi lub małego miasteczka, gorzej wykształcony, przeważnie starszy. Zdecydowanie liczniejszy. I bardziej podatny na manipulację i zarządzanie strachem.

Orbán kupuje Węgry. Na biednej jak mysz kościelna prowincji przez ostatnie lata Orbán stworzył sieć zależności, które pachną wyborczym klientelizmem. Zwykle panuje tam lokalny burmistrz Fideszu, który rozdziela roboty publiczne. Zaprzyjaźnieni z nim lokalni przedsiębiorcy wygrywają lokalne kontrakty i obdzielają pracę lo-



jalnych wobec Fideszu mieszkańców. Mało kto zgłasza na opozycję ze strachu przed utratą miejsca pracy i mglistą obietnicą lepszego życia.

W przekonaniu, że opozycja się do niczego nie nadaje, utwierdza ich rządowa propaganda. Mieszkańcy prowincji wiedzą czerpiąc przede wszystkim z telewizji i dzienników regionalnych. Te ostatnie są dawno w rękach ludzi Fideszu. Publiczna telewizja w trakcie całej kilkumiesięcznej kampanii wyborczej dała głównemu kandydatowi opozycji Péterowi Márkiemu-Zayowi jedynie pięć minut swobodnej wypowiedzi (bo była do tego zobligowana ustawowo).

Opozycja nie była w stanie zbudować przeciwwagi dla Fideszu, bo partia rządząca ma niczym nieograniczone zasoby. Ludzie Orbána bez wahania sięgają po środki publiczne. Swoje dokładają dotowane stowarzyszenia i „zaprzyjaźnieni” przedsiębiorcy.

Transparency International wyliczyła, że opozycja miała dziewięciokrotnie mniejsze nakłady na same plakaty reklamowe zewnętrzne. Widać to doskonale w Budapeszcie. Na całej długiej drodze z lotniska średnio na jeden plakat opozycji przypada dziesięć Orbána.

Wypaczone wybory. Márki-Zay był najlepszym kandydatem, na jakiego może liczyć węgierska opozycja, ale jego niespodziewany wybór wiązał się z wieloma kłopotami organizacyjnymi. Na tle pozostałych czterech głównych kandydatów wykazał się największą determinacją i energią, lecz nie miał za sobą żadnego liczącego się politycznego zaplecza.

Dwa długie miesiace minęły mu na kompletowaniu jego sztabu. Gdy machina propagandowa Fideszu szła już pełną parą, opozycja pogrążyła się w kompletowaniu wspólnej listy wyborczej. Trwało to dłużej niż zwykle, bo Márki-Zay upierał się, by w pierwszej trzódzie kandydatów na wspólnej liście trójka kandydatów miała pochodzenie romskie. Dopisał swego. Romskiego kandydata wystawił nawet dawniej skrajnie prawicowy Jobbik, ale stało się to tak późno, że informacja ta nie zdążyła już przeniknąć szerzej do opinii publicznej.

Márki-Zay postawił na pozytywną kampanię. Mówił o „Węgrzech dla wszystkich”, zapewniał, że nie będzie dzielił narodu jak obecny premier.

• **Wczorajsze głosowanie w miejscowości Bujak na północy Węgier**

FOT. PETER KOMKA / AP

Parlament Węgier

• W 199-osobowym parlamencie Węgier zasiada 106 posłów wybranych w jednomandatowych okręgach wyborczych. Pozostali wyłaniany są w głosowaniu na listy partyjne.

Opozycja zapowiadała skończenie z korupcją, powrót do europejskich korzeni, wprowadzenie w ciągu pięciu lat w kraju euro. Orbán dzielił i straszyl. Zagrał tymi samymi kartami co w ostatnich dwóch poprzednich kampaniach. Wiedział, że do zwycięstwa wystarczy mu poparcie tylko jego żelaznego elektoratu. Robił, co mógł, by utrzymać go w wysokiej mobilizacji.

Ale w tej kampanii niemal wszystkie atuty były po stronie Orbána i Fideszu. W takich warunkach żadna opozycja w żadnym kraju nie miałaby szansy na walkę jak równy z równym. Na Węgrzech dokonała tymczasem kroku niebywałego – od lewa do prawa się zjednoczyła mimo wielu dzielących ją różnic. W dobrze funkcjonującej demokracji to nie do pomyślenia. Zaburza zasadę konkurencji pomiędzy partiami oraz ich podmiotowość. Rywalizacja, w której wszystkie partie muszą schować na bok dzielące ich różnice stanowiące o ich ofercie programowej, jest wypaczona.

Na Węgrzech opozycja z powodu działań Orbána nie miała jednak wyjścia. A co, jeśli przegra wybory? Czy będzie miała w sobie tyle determinacji, by dalej trwać?

Fidesz to partia jednej osoby. Orbán ma dopiero 58 lat i teoretycznie może Węgrami rządzić jeszcze długo. ●

Michał Kokot

Dnia 26 marca 2022 roku, przeżywszy 92 lata,
odeszła od nas nasza kochana Mama, Babcia i Prababcia



Aldona Stanisława Bijak
z domu Jakubek

Zawsze oddana rodzinie, swoim przykładem uczyła nas jak żyć w miłości,
wzajemnym zrozumieniu i poszanowaniu.
Pokazywała jak, troszcząc się o bliskich, nie zapominać o innych.

Ceremonia pożegnania rozpocznie się 22 kwietnia 2022 roku o godzinie 14.00
w Domu Pogrzebowym na Cmentarzu Powązkowskim Wojskowym.

Synowie, Synowe, Wnuki, Prawnuki

www.nekrologwyborcza.pl/34169336

Z głębokim żalem i wielkim smutkiem
zawiadamiamy o pogrzebie zmarłej
16 stycznia 2022 roku
naszej ukochanej Mamy i Babcy



Niny Anny Chylińskiej
z domu Różyckiej

Uroczystości żałobne odbędą się
12 kwietnia 2022 roku o godz. 13.00
w kościele pw. Karola Boromeusza na Starych Powązkach w Warszawie,
po czym nastąpi złożenie urny z Prochami
do grobu rodzinnego na miejscowym Cmentarzu.

Nieutuleni w bólu i osamotnieniu

Jerzy i Andrzej Chylińscy

Prosimy o nieskładanie kondolencji

www.nekrologwyborcza.pl/34169762

Rzeszów + Biden

6320

PUBLIKACJI

• związanych z wizytą Joego Bidena w Polsce w kontekście Rzeszowa ukazało się od 18 do 29 marca tylko w polskich mediach. Ekwiwalent reklamowy szacuje się na blisko 25 mln zł. Tak wynika z badań dr. hab. Dariusza Tworzydło z Uniwersytetu Warszawskiego i firmy Press-Service Monitoring Mediów

Szczecin. Dziś oficjalny debiut iluminacji Morskiego Centrum Nauki

FOT. MCN



MCN to multimedialna placówka, która w nowoczesnej formie ma popularyzować wiedzę o morzu i żegludze (dodatkowo na Łasztowni będzie planetarium w wielkiej, betonowej kuli). Jej koszt to ponad 91 mln zł plus 27,9 mln zł za wystawę stałą. Pierwsi odwiedzający skorzystają z mnóstwa atrakcji jesienią. Ale już dziś o godz. 20.15 odbędzie się oficjalny pokaz iluminacji Centrum. Wiadomo, że system daje możliwość ręcznego i automatycznego uruchamiania wielokolorowych scen i animacji, synchronizacji efektów świetlnych z sygnałami audio. Na zdj. iluminacja MCN w barwach flagi Ukrainy, obok oświetlone dzwigozaury. ● **Aleksander Stanuch**

Szkola bez ocen? Jak najbardziej

Weź mnie doceń, a nie oceń

– Prowadziłem pierwszą publiczną wiejską podstawówkę, w której nie stawiano ocen. Przekonałem się, jak bardzo to zmienia i uczniów, i nauczycieli – mówi Jarosław Durszewicz, który wraz z fundacją Szkoła bez Ocen będzie przekonywał do rezygnacji z pał i szóstek w 16 województwach. Czy to się może udać?

ROZMOWA Z

JAROSŁAWEM DURSZEWICZEM*

ALEKSANDRA LEWIŃSKA: Ile szkół w Polsce nie ocenia?

JAROSŁAW DURSZEWICZ: Sporo niepublicznych, np. Akademia Prymusa w Sochaczewie czy Spark Academy w Poznaniu. Listy publicznych nie ma, ale wkrótce ją stworzymy. Bo jest ich coraz więcej. Wiele podstawówek nie stawia ocen cyfrowych w klasach 1-3. Są licea, np. w Sierpcu, które oceny zamieniały na procenty. To już coś. We wrześniu ruszyła w Gowidlinie na Kaszubach szkoła bez ocen, a Szkoła Podstawowa nr 9 w Kołobrzegu na początku tego roku zrezygnowała z oceniania.

Bez oporów?

– Z niewielkimi. Nauczyciele pytali: co w zmian? Jak sprawdzić ucznia? Jak go zdyscyplinować? Bo przecież oceny w szkołach służą nie tylko ocenianiu, ale też dyscyplinują. Są narzędziem budzącym strach wśród uczniów, a dającym władzę nauczycielom. A z niego przecież nic dobrego nie wynika. Z kolei braku ocen często boją się i dyrektor, i nauczyciel, i rodzic.

Dyrektor boi się....

– ...zaniżonych wyników. Boi się, dopóki nie dostrzeże innej możliwości dojścia do dobrych rezultatów niż tresowanie uczniów do zdawania egzaminów.

Rodzice też się boją, że test na koniec podstawówki pójdzie za słabo, by dostać się do liceum.

– Tak. Ale boją się również, że nie będą wiedzieli, gdzie jest ich dziecko. Uczy się czy nie? Rozwija się czy traci czas?

A nauczyciel boi się....

– ...najczęściej dyrektora. Jest rozliczany z wyników i realizacji podstawy programowej.

Polskie przepisy pozwalają na niestawianie ocen?

– Moim zdaniem wręcz do tego zachęcają. Rozporządzenie o systemie oceniania i klasyfikacji uczniów tak definiuje ocenę bieżącą: celem jej jest bieżące monitorowanie postępów ucznia i udzielenie informacji o tym, gdzie jest, przez określenie tego, co robi dobrze, nad czym powinien jeszcze popracować, i wskazanie kierunku dalszego rozwoju.

Niewiele ma to wspólnego z dwójką czy piątką.

– To klasyczna definicja informacji zwrotnej. A przecież trójka nie mówi uczniowi nic. Nauczyciele twierdzą, że trójka z komentarzem mówi wszystko. Nieprawda. Komentarz uczniowie nie czytają. Poza tym emocje wywołuje ocena, komentarz nie.

Ale postawić dwójkę łatwiej, niż udzielić informacji zwrotnej.

– Mamy wykształconych przedmiotowców, świetnych fizyków znających się na fizyce, matematyków znających się na matematyce, ale na komunikacji, udzielaniu informacji zwrotnej, zarządzaniu i procesach grupowych – już nie. Gdy mówimy: zmieńcie to, podnieście kompetencje, uwolnijcie uczniów i siebie od ocen, odpowiadają, że rodzice nie chcą, dyrektor nie chce, koledzy nie chcą. I koło się zamyka. Na szczęście w ostatnich dwóch latach sporo się zmieniło. Pandemia, nauka online, a teraz uchodzący dołączający do klas wielu środowiskom unaocznily bezsensowność szkolnego systemu oceniania.

Jak?

– Pandemia pokazała, jak absurdalne bywa ocena. Uczniowie wiedzą o tym najlepiej. Ale podczas zdalnego nauczania zobaczyli to też rodzice, którzy pracowali w tym samym pokoju albo tuż obok. Te piątki za nic, a liche trójki, gdy naprawdę się uczyli. Te sprawdziany na Teamsach, gdy odpowiedzi dołączają do Discordzie... Te zmasowane kartkówki po powrocie do szkoły, by wypełnić wszystkie rubryki w dzienniku... Myślę, że po kilku epizodach ze zdalną edukacją idea szkoły bez ocen ma zdecydowanie więcej zwolenników. Przyjęcie do polskich szkół uchodźców z Ukrainy też takiemu myśleniu sprzyja.

Bo?

– Czego potrzebują Ukraińcy w szkole?

Bezpieczeństwa i rówieśników, relacji...

– Właśnie. I tak naprawdę tego samego, by chcieć się uczyć, potrzebuje każde dziecko. I dopiero przyjmując uchodźców do naszych klas, zaczęliśmy głośno mówić o tym, by ich nie oceniać, bo ocena może zrobić krzywdę, zranić. W szkołach bez ocen dzieciaki stały się bardziej energiczne, radosne, coraz lepiej rozumiały, co znaczy uczyć się w znaczeniu udoskonalać samego siebie, a nie dla ocen. Niedawno byliśmy w Bergen, by przyjrzeć się z bliska norweskim szkołom, w których ocen cyfrowych nie ma. I gdybym miał opisać tamten system edukacyjny zwięźle, powiedziałbym: szczęśliwe dzieci, szczęśliwi rodzice, szczęśliwi nauczyciele.

Idealizuje pan...

– Serio. Oglądaliśmy lekcje, zajęcia dodatkowe, spotykaliśmy się z nauczycielami, rodzicami. Wszędzie widzieliśmy Polaków, których dzieci uczą się w norweskich klasach.



*Jarosław Durszewicz

• Były dyrektor I LO w Bydgoszczy, a także podstawówki w Duszynie, pierwszej w woj. kujawsko-pomorskim szkoły publicznej, która zrezygnowała z tradycyjnego oceniania. Razem z Justyną Cholewińską prowadzi fundację Szkoła bez Ocen organizującą ogólnopolską kampanię „Szkoła bez ocen” pod hasłem „Weź mnie doceń, a nie oceń” (projekt realizowany w programie „Aktywni obywatele”, finansowany z funduszy norweskich). ●

Debaty o ocenianiu

• Organizatorzy kampanii zapowiadają: „Do maja 2023 przeprowadzimy 16 wojewódzkich debat o ocenianiu i zaprosimy do organizacji podobnych debat u siebie w szkole”. Pierwsza z 16 debat o szkole bez ocen odbędzie się w tym tygodniu, 7 kwietnia, w Olsztynie. ●

Podkreślają, że tam ich dzieci naprawdę lubią chodzić do szkoły.

Czym tamta szkoła różni się od polskiej?

– Do siódmej klasy w ogóle nie ma ocen. Są dwa egzaminy kontrolne: po piątej i po dziesiątej klasie.

I nie zdarza się, że po pierwszym egzaminie okazuje się, że jest kilku uczniów, którzy nie potrafią niemal nic?

– Nie.

Pewnie klasy są nieliczne...

– 25 osób. Jak u nas w podstawówkach. Ale brak ocen niesie konsekwencje. Nauczyciele muszą w inny sposób nadzorować rozwój uczniów. Efekt? Mają z nimi relacje. I dbają o nie. Z każdym, nawet tym, który chciałby się schować gdzieś w kącie. Jednocześnie ciężar odpowiedzialności za wynik egzaminów jest przesunięty z nauczyciela na ucznia. To on dostaje wskazówki, nad czym musi popracować. Jeśli z nich skorzysta, na egzaminie to wyjdzie. W Polsce za wyniki wciąż odpowiedzialni czują się nauczyciele. A z przepisów prawa oświatowego jasno wynika, że oni odpowiadają za organizację procesu uczenia się, nie za jego wynik.

Ale finalnie z wyniku rozlicza nauczyciela dyrektora.

– OK. Ale do tego wyniku można dojść dwoma drogami: albo tresować uczniów do tego, by dobrze zdali egzaminy końcowe, czyli wprowadzać tryb: zakuć – zdać – zapomnieć, pozostając na dolnych poziomach taksonomii Blooma: zapamiętać – zrozumieć – zastosować, albo dawać wyzwania, mierząc z problemami, zmuszając do myślenia, ucząc przez to analizy, syntezy, wnioskowania. Skupianie się na przekazywaniu zbyt wielu treści i uporczywej weryfikacji, czy zostały przyswojone, to działanie wbrew współczesnym ustaleniom nauki. Ta mówi jasno: żeby kogoś czegoś nauczyć, trzeba wzbudzić w nim motywację wewnętrzną. Ten inny model nauczania, o którym mówię, w zasadzie sprowadza się do tego, by pozwolić uczniom myśleć i pracować zespołowo, by lekcje nie polegały na tym, że nauczyciel pisze temat na tablicy i wyklada zagadnienie, ale rzuca problem, daje narzędzia do jego rozwiązania i wspiera uczniów w poszukiwaniu odpowiedzi. ●

Rozmawiała **Aleksandra Lewińska**

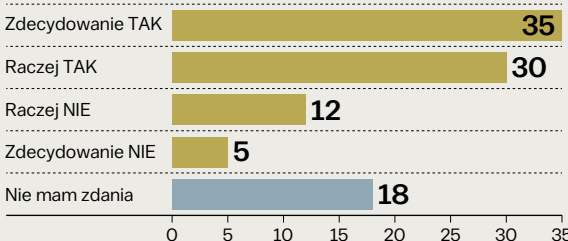
1 200
1 238

MLD ZŁ

• **wyniosły „cennikowe wydatki na promocję spółek skarbu państwa w 2021 roku” – wynika z analizy prof. Tadeusza Kowalskiego, medjoznawcy z Uniwersytetu Warszawskiego**

Bojkotujesz firmy, które nie wycofały się z Rosji?

Dane w proc.



ŹRÓDŁO: BADANIE UCE RESEARCH 25-28.03.2022 R., WIĘCEJ NA WYBORCZA.BIZ



Każdy konsument gazu – od biznesu po prywatne gospodarstwa domowe – jest zobowiązany do jak największego ograniczenia swojego zużycia. Liczy się każda kilowatogodzina

ROBERT HABECK
minister gospodarki Niemiec

Czterodniowy tydzień pracy

Pracując krócej, uratujemy planetę?



Skrócenie tygodnia pracy do czterech dni można postrzegać w najprostszych kategoriach: starcia „pracowitych” z „leniwymi”. Ale jeśli podrapać głębiej, okazuje się, że może mieć przemożny wpływ nie tylko na zdrowie czy wydajność pracowników i pracowni, ale także nierówności społeczne, a nawet ocieplanie się klimatu.

Adriana Rozwadowska

Małgorzata, pracownica agencji reklamowej: – To rewolucja w jakości życia. Można naprawdę znów pokochać swoją pracę. Nie mam poczucia, że pracując cztery dni w tygodniu, robi się mniej niż przez pięć.

Grzegorz, programista: – Pracuję w start-upie. Oficjalnie pracujemy przez

pięć dni w tygodniu, ale piątek jest na „projekty własne, doszkalanie i odpoczynek”. Na początku było to podyktowane problemami z płynnością finansową. Potem dzień „wolny” został, bo się sprawdził.

Mikołaj, programista: – Pracodawca też korzystał na moich wolnych piątkach. Programowałem wtedy dla przyjemności i niezwykle się rozwijałem. Teraz znowu czuję się zmęczony, nie tęsknię za pracą i nie programuję w weekendy.

Małgorzata: – To kwestia pokoleniowa. Kiedy w 2015 r. obwieściłam rodzicom, że będę pracować na niepełnym etacie, mama zapytała ze smutkiem: „Nie chcieli dać ci całego?”.

Młodzi chcą pracować krócej

Że to kwestia pokoleniowa, pokazuje też badanie na zlecenie agencji pośrednic-

two pracy Personnel Service, w którym czterodniowy tydzień pracy poparło tylko 17 proc. osób powyżej 55. roku życia, ale już poparcie w grupie od 25. do 34. roku życia wyniosło aż 53 proc. Przedsiębiorstwa muszą zacząć liczyć się ze zmieniającymi się preferencjami osób młodych.

Dane pokazują, że – szczególnie po doświadczeniach związanych z pracą hybrydową w czasie pandemii – młodzi ludzie nie chcą już pracować w tradycyjnym modelu. Elastyczne godziny pracy stają się – obok zarobków – jednym z najważniejszych czynników podczas wyboru przyszłego pracodawcy.

Wiele wskazuje na to, że firmy – przynajmniej te największe – uprzedzą państwa. Już w 2019 r. czterodniowy tydzień pracy dla 2,3 tys. pracowników i pracownic wprowadził japoński Microsoft. Wydajność? Wzrosła o 40 proc.

• **Work-life balance staje się coraz bardziej ważny w życiu zawodowym, zwłaszcza młodszych pokoleń** FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Więcej o czterodniowym tygodniu pracy ► II-III

Tym samym tropem poszły też Unilever czy Perpetual Guardian w Nowej Zelandii. W Polsce tydzień pracy skróciła firma technologiczna Mad Mountain. W styczniu analogiczny zamiar zapowiedział japoński Panasonic.

W lutym br. ruszył pilotaż Four Day Week Global, w którym bierze udział ponad 50 przedsiębiorstw z Irlandii, Kanady i USA. Badacze z Boston College i University College Dublin sprawdzają, jak przeprowadzona na ponad 2 tys. pracowników i pracownic próba wpłynie na ich wydajność pracy czy samopoczucie.

Trzeba pamiętać o zdrowiu

W 2015 r. „The Lancet” opublikował wyniki analizy, która objęła aż 600 tys. osób. Te pracujące 55 godzin tygodniowo – czyli po 11 godzin przez pięć dni w tygodniu – doznawały udarów mózgu aż o jedną trzecią częściej niż te, które nie przekraczały kodeksowych 35-40 godzin. Osoby pracujące jeszcze mniej – 6 godzin dziennie – zgłaszają znacznie lepsze samopoczucie.

Jak długa praca przekłada się na zdrowie, obrazuje także doskonale przypadek banku inwestycyjnego Goldman Sachs, bo rozpoczęte w latach 60. likwidowanie roboczych sobót wciąż nie wszędzie się jeszcze zakończyło.

W pierwszej połowie 2021 r. pracownicy banku otrzymali bowiem wiadomość od samego szefa Davida Solomona. Poinformował ich, że będzie naciskał na egzekwowanie zasady wolnych sobót, zgodnie z którą nie wolno im pracować od godziny 21 w piątki do 9 rano w niedzielę. A wszystko to wydarzyło się po tym, jak do prasy wyciekł raport o warunkach pracy w banku.

Średnia liczba przepracowanych godzin tygodniowo? 95. Średni czas snu? 5 godzin. Ocena zdrowia fizycznego przed zatrudnieniem się w banku i po zatrudnieniu się na skali od 1 do 10? Odpowiednio 9 oraz 2,3. Psychicznego? 8,8 i 2,8. Do tego 75 proc. badanych stwierdziło, że potrzebuje terapii lub innej formy wsparcia. Swoje życie osobiste ocenili na 1.

Bank zapytał ich więc: jakie są szanse, że będą w nim pracować za miesiąc, kwartał i pół roku (znów na dziesięciostopniowej skali)? Prawdopodobieństwo pracy w Goldman Sachs za 30 dni badania oszacowali na 8,1, za trzy miesiące na 5,2, a za pół roku na zaledwie 3,5.

Badacze prowadzący projekt Four Day Week Global sprawdzą coś jeszcze: jak skrócony tydzień pracy wpłynie na ślad węglowy, który pozostawiają pracownicy i pracownice. To, co wielu wydaje się fanaberią, może okazać się istotną odpowiedzią nawet na globalne ocieplenie. ●

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRON UCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Adriana Rozwadowska

„Jaki jest Pana/Pani stosunek do propozycji skrócenia tygodnia pracy do czterech dni lub 32 godzin tygodniowo?” – zapytała w grudniu 2021 r. reprezentatywną próbę Polaków i Polek międzynarodowa inicjatywa More in Common.

„Raczej” lub „zdecydowanie” pomysł poparło w sumie 51 proc. badanych. Na tym tle zaledwie 31 proc. było mniej lub bardziej przeciw (aż 18 proc. nie umiało udzielić odpowiedzi).

– Chcieliśmy sprawdzić, czy Polacy wciąż uważają, że długa praca jest powodem do dumy – bez względu na jej efekty, czy też wolą pracować krócej, ale efektywniej. Wygląda na to, że świadomość rośnie, a kult harówki, żeby nie powiedzieć „zapie***lu” nie jest już tak powszechny, jak mogłoby się wydawać – komentuje wyniki Adam Traczyk, współpracownik More in Common.

Podobnych badań prowadzi się obecnie setki, bo temat stał się niezwykle gorący. I pojawiają się kolejne „ale”. Bo kiedy inicjatywa More in Common sprawdziła, ile zarabiają popierający to rozwiązanie, ujawniła się – potwierdzona w wielu innych badaniach – zależność: im wyższe zarobki, tym bardziej przychylnie wobec czterodniowego tygodnia pracy opinie. Powód? Osoby o najniższych płacach, wykonujące prace proste i wynagradzane za godzinę, obawiają się, że ich dochody spadną.

DLA KOGO ULGA?

Podobne wnioski płyną z badania agencji pośrednictwa pracy Personnel Service z października 2021 r. Zaledwie 30 proc. pracowników, którzy ukończyli tylko szkołę podstawową, popiera ideę pracy przez cztery dni w tygodniu. Dla porównania, wśród osób z wykształceniem wyższym odsetek ten wyniósł 43 proc.

To powtórka z pandemii, która ujawniła wzrost nierówności: podczas gdy pracownicy umysłowi szli na pracę zdalną, osoby pracujące na produkcji, w handlu czy usługach codziennie narażały się na zakażenie COVID-19. Zdaniem badaczy podobnie może wydarzyć się w przypadku czterodniowego tygodnia pracy. Nieprzypadkowo wszystkie pracujące w tym modelu osoby, do których udało mi się dotrzeć, to przede wszystkim zatrudnieni w sektorze IT, branży kreatywnej czy w administracji.

– Dotychczasowe eksperymenty pokazują, że relatywnie łatwo jest wdrożyć ten pomysł w sektorze publicznym, np. w urzędach czy w biurach. Są jednak branże, w których będzie o to znacznie trudniej – mówi Andrzej Kubisiak, zastępca dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Ale zaraz dodaje: – Co nie oznacza, że będzie niemożliwe. To nieuchronny trend, którego już nie zatrzymamy.

Zdaniem Kubisiaka w Polsce szczególnie trudno byłoby o skrócenie czasu pracy w produkcji i ochronie zdrowia: – Nieprzypadkowo niewiele eksperymentów dotyczy tych branż. Przeprowadziła taki Toyota, w innym z kolei sprawdzano wpływ skróconego tygodnia pracy na białą personel w Szwecji.

Rzecz działa się w jednym z domów spokojnej starości w Göteborgu. Kiedy pielęgniarkom skrócono tydzień pracy o jedną czwartą, pracownice zadeklarowały większe zadowolenie z pracy i lepsze samopoczucie. Problem polegal jednak na tym, że praca w domu seniora wymaga zapelnienia grafiku



Czterodniowy tydzień pracy wprowadzają właśnie Panasonic, Kickstarter i setki innych firm, trwają eksperymenty w Hiszpanii czy Irlandii, ten w Islandii zakończył się wielkim sukcesem. Młode pokolenie nie chce już poświęcać się dla szefa. Ale czterodniowy tydzień pracy może mieć też drugą, ciemniejszą stronę: utrwalanie nierówności.

▲ **Nie tylko ekonomiści w tej kwestii pozostają zgodni: czas wolny przeznaczany na kontakt z innymi ludźmi jest właściwie nie do „przedawkowania”**

FOT. RAFAŁ POZORSKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

– to nie projekt, który można skończyć przed czasem.

Z kolei w Toyocie wprowadzenie sześciogodzinnego dnia pracy poskutkowało wzrostem przychodów firmy (o jedną czwartą) i wzrostem produktywności (o 14 proc.).

– W obu przypadkach efekty były podobne: pracownicy czuli się zdrowsi, spadła liczba absencji chorobowych, wzrósł ogólny dobrostan, a wydajność pozostała wysoka lub wzrosła. Pracodawcy musieli jednak zwiększyć zatrudnienie o ok. 20-25 proc., aby pokryć liczbę roboczogodzin, przez co wzrosły ich koszty – tłumaczy Andrzej Kubisiak. – W Polsce niedobory personelu w ochronie zdrowia są tak poważne, że skrócenie czasu pracy nie wydaje się realne. Z kolei dla przemysłu to wyzwanie, ale dzięki automatyzacji do przeskoczenia.

Bo kwestia w tym, aby zmian nie przeprowadzać skokowo.

PRACODAWCY NIE STRACĄ, A MOGĄ ZYSKAĆ

– Przypomnijmy sobie lata 60. i 70., kiedy likwidowano robocze soboty. Zmiany wprowadzaliśmy stopniowo i nie wymagały obniżenia wynagrodzeń. Tydzień pracy można przecież skracać, odejmując po dwie godziny co jakiś czas. Dlatego to kwestia cierpliwości i co najmniej dekady – mówi Kubisiak i wskazuje na Hiszpanię: – To tam trwa właśnie eks-

peryment, na który powoływać się będą kolejne ekipy rządzące w całej UE.

Hiszpania była jednym z pierwszych krajów, w których – wskutek nacisków ówczesnej lewicy – w 1919 r. wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy. Wcześniej, w XIX w., standardem była praca trwająca kilkanaście godzin. Walka o jej skrócenie trwała przez cały wiek.

Na początku 2021 r. hiszpański rząd odważył się zrobić kolejny krok – na razie na próbę – i przeznaczyć 50 mln euro na pilotaż dla firm, które ochotniczo zdecydowały się przetestować 32-godzinny tydzień pracy na własnym organizmie. Eksperyment nie będzie niósł za sobą żadnego ryzyka dla pracodawców. Dlaczego?

Bo koszty, które musieliby ponieść, skracając tydzień pracy bez obniżania

wynagrodzeń, zostaną pokryte dzięki unijnym funduszom. I tak w pierwszym roku eksperymentu pracodawcy otrzymają 100 proc. zwrotu kosztów, w drugim – 50 proc., w trzecim zaś – 33 proc. Hiszpania liczy, że pracodawcy zauważą wyższą efektywność pracowników i pracownicy, przekonają się do rozwiązania i zdecydują się utrzymać nowy model nawet po zakończeniu pilotażu.

Wyniki poznamy jednak dopiero za trzy lata.

ISLANDZKI PRZYKŁAD

W Polsce pionierką jest partia Razem. Ta w 2018 r. usiłowała zebrać 100 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy ws. skrócenia tygodnia pracy do 35 godzin. Wtedy się nie udało, ale partia – dziś już obecna w Sejmie – zamierza powrócić do pomysłu.

– Pracujemy nad szczegółami ustawy. Chcemy skracać czas pracy odpowiedzialnie, stopniowo, tak by firmy mogły łatwo dostosować się do zmian – zapowiada poseł Adrian Zandberg. – Polska skróciła dzień pracy do ośmiu godzin sto lat temu, a przecież od tamtej pory wzrosła wydajność i zmieniły się technologie. Do tego pracownicy, którzy mają więcej czasu na odpoczynek, pracują wydajniej. To dlatego kolejne firmy same z siebie decydują się na wprowadzenie krótszego dnia pracy. W nowoczesnej gospodarce to po prostu realne i racjonalne.

Kiedy ludzie mają więcej czasu wolnego, rzadziej stoją się w fast foodach czy zamawiają gotowe posiłki, co pozytywnie wpływa na ich zdrowie. A do tego – żyjąc bez pośpiechu – wybierają bardziej ekologiczne środki transportu

Podczas gdy Razem pracuje nad projektem ustawy, sprawę – pod koniec stycznia br. – postanowił poruszyć także poseł Michał Wypij z Porozumienia Jarosława Gowina.

„Szanowna Pani Minister! W Polsce od wielu lat obowiązuje czterdziestogodzinny tydzień pracy. Jednak w wielu państwach wprowadzono już zachęty, aby w trosce o zdrowie pracowników skracać tydzień pracy (...). Pojawiły się w Japonii, Hiszpanii i Nowej Zelandii” – pisze poseł Wypij w interpelacji do resortu pracy i pyta, czy ministerstwo bada tę sprawę i zamierza dokonywać zmian w Kodeksie pracy.

MRPiPS jeszcze nie odpowiedziało. Tymczasem, jak pisze Michał Wypij, „badania przeprowadzone w Islandii dowiodły, że osoby pracujące 35-36 godzin w tygodniu były bardziej wydajne albo pracowały tak samo, jak na czterdziestogodzinnym etacie”.

I faktycznie: przeprowadzony w latach 2015-19 w Islandii eksperyment należy do najbardziej do tej pory udanych. Wzięło w nim udział 2,5 tys. osób. Ich czas pracy skrócono do 35 lub 36 godzin tygodniowo. Wyniki brzmią jak mantra: zdrowie badanych się poprawiło, wzrosła ich satysfakcja z życia, wydajność pracy nie zmieniła się lub wzrosła. Co więcej, po zakończeniu badania aż 86 proc. uczestników i uczestniczek pozostało przy skróconym czasie pracy.

PRACA A KLIMAT

Pod koniec 2020 r. ukazała się książka o czterodniowym tygodniu pracy – „The Case of a Four Day Week”. Anna Coote, Aidan Harper i Alfie Stirling z brytyjskiego think tanku New Economics Foundation wyliczają w niej te trochę mniej oczywiste zalety skracania tygodnia pracy. Kiedy ludzie mają więcej czasu wolnego do dyspozycji – piszą autorzy – rzadziej stołują się w fast foodach czy zamawiają gotowe posiłki, co pozytywnie wpływa na ich zdrowie. A do tego – żyjąc bez pośpiechu – wybierają bardziej ekologiczne środki transportu, np. autobus czy rower. Co z kolei ma swoje przełożenie na stan środowiska.

Andrzej Kubisiak powołuje się na raport Platform London, dotyczący Wielkiej Brytanii. Zgodnie z nim wejście w życie czterodniowego tygodnia pracy tylko do 2025 r. zmniejszyłoby emisję CO₂ o 127 mln ton, czyli o ok. 20 proc. Chodzi nie tylko o dojazd do pracy, ale także ślad węglowy powstający w związku z pracą w klimatyzowanych biurach. Pracując zdalnie lub krócej, zmniejszamy więc swój ślad węglowy.

OPIEKA NAD RODZICAMI

Tylko czy polska gospodarka to udźwignie? – To czysto hipotetyczne rozważania. Polska nie będzie narzucać nikomu trendów w tym temacie – uważa Łukasz Komuda, ekonomista z Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych. Jego zdaniem skracanie tygodnia pracy jest

sluszne i nieuchronne. W Polsce jednak nie przejdzie tak łatwo.

– Bo opcje są dwie: skrócenie czasu pracy przy zachowaniu pełnych pensji albo skrócenie czasu pracy i obcięcie wynagrodzeń o 20 proc. Na to pierwsze nie zgodzą się pracodawcy, na to drugie pracownicy. To nie wchodzi w grę, bo wciąż za mało zarabiamy, a ludziom nie zepną się domowe budżety. Ale dojdziemy do tego. Świat się zmienia, a z czasem pojawiają się nowe rozrywki czy obowiązki domowe, które zwiększą zapotrzebowanie na wolny czas – wyjaśnia Komuda.

– Rodzi się coraz mniej dzieci, prognozowana wysokość emerytur spada, na prywatne domy opieki stać niewielu, a państwowa opieka nad osobami starszymi nie będzie w stanie pokryć zapotrzebowania starzejącego się społeczeństwa. W tych ostatnich też zresztą zabraknie „młodych” rąk do pracy. Czy to oznacza, że kiedyś będziemy zmuszeni skrócić czas pracy po to, żeby opiekować się starszymi, schorowanymi rodzicami? – pytam.

– Tak, może się zdarzyć, że skracanie czasu pracy stanie się jeszcze gorętszym tematem właśnie z tego powodu. System, nie będąc w stanie zapewnić nam pomocy i opieki, będzie musiał coś „wykombinować” – np. zwolnić nas wcześniej z pracy. Wtedy zamiast pracy zarobkowej będziemy mogli poświęcić więcej czasu pracy opiekuńczej – odpowiada Komuda.

I dodaje: – Szczere wątpię, by za mojego życia społecznym problemem stał się nadmiar wolnego czasu. Nie brakuje badań pokazujących, że na naszej psychice negatywnie odciska się zarówno bezrobocie, jak i nadmiar czasu przeznaczanego po prostu na rozrywkę. Jednak zdecydowanie kosztowniejsze dla zdrowia społecznego są przepracowanie i stres związany z pracą, które według WHO zabijają na całym świecie 750 tys. osób rocznie. Przesunięcie naszych zajęć z pracy zarobkowej na pracę opiekuńczą nie będzie oznaczało więcej „laby”. Zaś czas wolny przeznaczany na kontakt z innymi ludźmi jest właściwie nie do „przedawkowania”. Ile powinniśmy pracować zarobkowo? 30 godzin pracy tygodniowo wydaje mi się w obecnej rzeczywistości bliskie optimum.

WOLNE NIE DLA WSZYSTKICH?

Niektórzy jednak na czterodniowy tydzień pracy patrzą bardzo sceptycznie, w tym Maciej Bukowski, ekonomista i prezes think tanku WiseEuropa.

– Faktycznie, dziś gospodarujemy czasem inaczej. Wydłuża się czas przed wejściem na rynek pracy, dłuższy jest czas spędzany przez nas na emeryturze, w międzyczasie bierzemy urlopy, a liczba świąt państwowych rośnie. Im bogatszy kraj, tym mniej się w nim pracuje. Ale niekoniecznie w taki sposób, jaki proponują zwolennicy czterodniowego tygodnia pracy, niekoniecznie wszyscy jednego dnia – tłumaczy Maciej Bukowski.

– Jako konsumenci oczekujemy dostępu do produktów przez 365 dni w roku i siedem dni w tygodniu. Konsumen-

Lepiej dla klimatu

20

PROC.

• o tyle zmniejszyłoby emisję dwutlenku węgla wprowadzenie w życie czterodniowego tygodnia pracy w Wielkiej Brytanii według raportu Platform London

ci chcą kupować meble, mieć dostęp do Netflixa czy basenu i ktoś musi im to dostarczyć. Tak działają rynki kapitałowe i trudno byłoby nam się z tego wyłączyć. Z tego samego względu większego sensu nie ma zakaz handlu w niedziele – bo jedni tego dnia mają wolne, a inni nie. Można skraćć czas pracy, np. poprzez pracę na niepełnym etacie, ale nie w sposób zsynchronizowany: wszyscy biorą niedzielę albo piątek – mówi Bukowski.

Zgodnie z brytyjskimi badaniami, czterodniowy tydzień pracy może przynieść gospodarce korzyść w postaci większej konsumpcji – 54 proc. respondentów zadeklarowało, że w wolny piątek robiliby zakupy, 43 proc. wybrałoby się do teatru lub kina, a 39 proc. do restauracji. Pytanie jednak, jak zatem dać trzydniowy weekend kasjerkom, kelnerkom, bileterom czy pracownikom ochrony? Tu znów powraca kwestia rosnących nierówności między pracownikami fizycznymi i biurowymi.

CO NAS DEMOTYWUJE

Czterodniowy tydzień pracy to kierunek nieuchronny, ale sam w sobie nie wszystko załatwi. Potwierdza to badanie Instytutu Gallupa z marca 2020 r., przeprowadzone na próbie ponad 10 tys. Amerykanów i Amerykanek, z których 5 proc. pracowało przez cztery dni w tygodniu, 84 proc. – pięć dni, zaś 11 proc. – sześć.

Dane o ich samopoczuciu nie zaskoczyły: aż 38 proc. z tej ostatniej grupy zgłaszało symptomy wypalenia, wśród pracujących pięć dni w tygodniu to samo dotyczyło 28 proc., w grupie osób pracujących najkrócej o wypaleniu wspomniała co czwarta osoba.

Jednak, co ciekawe, gdy sprawdzono stopień zaangażowania w pracę, okazało się, że był on niższy w dwóch skrajnych grupach – najwyższy zaś wśród osób pracujących od poniedziałku do piątku.

„Podstawowym problemem nie jest liczba dni pracy, ale samo miejsce pracy” – konkludują badacze z Instytutu Gallupa. Krótszy tydzień pracy? Tak, ale osoby zdemotywowane przez miejsce pracy złej jakości i przełożonych staną się wtedy jeszcze bardziej wycofane i ucieczkowe. Dlatego najpierw należy położyć nacisk na ciągłe szkolenie i uświadamianie

menedżerów co do ich roli oraz tworzenie przyjaznego środowiska pracy.

Na skracaniu czasu pracy powinno też zależeć politykom – przynajmniej niektórym. Jak tłumaczą w „The Case of a Four Day Week” Coote, Harper i Stirling, przepracowani i wkurzeni obywatele i obywatelki nie biorą udziału w tworzeniu lokalnej społeczności i nie angażują się w działania obywatelskie i politykę w podobnym stopniu jak osoby posiadające więcej czasu. „Demokracja zabiera czas” – piszą autorzy książki.

Już w latach 50. Richard Nixon – wówczas wiceprezydent Stanów Zjednoczonych – twierdził, że czterodniowy tydzień pracy jest nieodległą perspektywą: „To nie są marzenia ani czcze przechwałki. To po prostu ciąg dalszy naszych dotychczasowych osiągnięć”. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają uczyć się wartości, skoro w posadach trzęsą się dotychczasowe ich gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/Jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem Jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY

FANUC

A może by po prostu zmniejszyć sobie etat?

• **Rafał:** – Pracowałem na cztery piąte etatu przez dwa lata. Nie polecam. Z niczym się nie wyrabiałem. Kończyło się na bezpłatnych nadgodzinach.

• **Bohdan:** – Pod tym się podpisuję. Gdy jest się „rodzynkiem” w organizacji, nagle z czterech piątych etatu robi się dziewięć dziesiątych.

• **Mikołaj:** – Miałem w zespole kolegę, który lubił podkreślać, że on jest dostępny przez cały czas, a mnie w piątek nie będzie, i że to blokuje jakiś projekt. Innym razem poprosiłem o podwyżkę. Szef odpowiedział, że jak chcę zarabiać więcej, może mi przywrócić cały etat.

Skracanie etatu na własną rękę często nie działa, jeśli reszta

zespołu wciąż pracuje na cały. No chyba że żyjemy w państwie – np. w Holandii – w którym części etatu są popularne. Ale nie w Polsce. Zgodnie z danymi Głównego Urzędu Statystycznego za ostatni kwartał 2021 r., w Polsce pracuje 16,8 mln osób, z czego 15,8 mln na pełny etat, zaś w niepełnym wymiarze czasu pracy zaledwie 985 tys.

• **Łukasz Komuda,** ekonomista z Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych: – W Wielkiej Brytanii jeszcze przed pandemią wśród ludzi młodych pojawił się trend: jeśli zarabiasz może nienadzwyczajnie, ale nieźle, rezygnujesz z części etatu, żeby mieć więcej czasu na bliskich czy hobby. ●

Pobierz specjalny dodatek „Gazety Wyborczej”

z ofertami pracy dla Ukraińców i przydatnymi informacjami dla przybywających z Ukrainy

wyborcza.pl /pomagam



Zeskanuj kod QR



Smutny jak amerykański lobbysta

Napaść Rosji na Ukrainę pozbawiła milionów dolarów dochodu wpływowe firmy lobbingowe w Waszyngtonie. Na służbie dla Rosji zarabiali byli kongresmeni obu głównych amerykańskich partii i wpływowi urzędnicy byłych administracji USA.

Andrzej Kublik

Napaść Rosji na Ukrainę nagle odebrała krociowe zyski amerykańskim firmom lobbingowym, określanym zbiorczo „K Street” od nazwy jednej z głównych arterii Waszyngtonu, przy której swoje biura mają te firmy.

Z dnia na dzień wiele firm lobbingowych zerwało kontrakty z rosyjskimi klientami, gdy Putin rozkazał armii zaatakować Ukrainę. Ale dotyczyło to przede wszystkim, a może tylko kontraktów z firmami, które zostały objęte sankcjami USA – takimi jak kilka największych rosyjskich banków i Nord Stream 2 AG, szwajcarska spółka Gazpromu odpowiedzialna za projekt kolejnego bałtyckiego gazociągu z Rosji do Niemiec.

PRZESTALI LOBBOWAĆ, GDY NIE WOLNO

W tym przypadku, a zwłaszcza w przypadku rosyjskich banków objętych blokującymi sankcjami USA, to „nie był gest solidarności wobec Ukrainy, lecz obowiązek według prawa Stanów Zjednoczonych”. Tak powiedział stacji telewizyjnej CNN mecenas Erich Ferrari specjalizujący się w przepisach o sankcjach. Bo Amerykanie nie mogą robić żadnych interesów z firmami objętymi sankcjami blokującymi. Grożą za to surowe kary.

Inni lobbyści wycofali się ze współpracy ze swoimi chlebodawcami z Rosji, aby to nie popsulo ich wizerunku. Po ataku Rosji na Ukrainę nie uchodzi lobbować w ośrodkach władzy w Waszyngtonie za interesami Kremla i rosyjskich firm. Ale dotąd lobbyści z K Street nie mieli takich skrupułów.

„W większości przypadków firmy reprezentujące tych klientów z Rosji dokładnie wiedziały, z kim współpracują. Wiedziały, że współpracują z gośćmi, którzy są bardzo blisko Putina. (...) Wiedziały dokładnie, co oni robią, ale to im nie przeszkadzało” – powiedział magazynowi „Politico” Ben Freeman z ośrodka badawczego The Quincy Institute for Responsible Statecraft, obserwujący zagraniczne wpływy w USA.

„Trzeba było niemal początku III wojny światowej, aby [amerykańskie firmy lobbingowe] faktycznie porzuciły tych klientów” – ocenił Freeman.

HOJNA ROSJA

Amerykańskie prawo zezwala na lobbowanie w interesach obcych państw. Firmy prowadzące taką działalność powinny tylko wpisać ją do specjalnego rejestru prowadzonego przez Departament Sprawiedliwości, podając tam, kiedy i na jak długo zawarły umowę z obcym państwem

lub firmą kontrolowaną przez obce państwo, co ma być przedmiotem lobbingu i ile dostają za swoje usługi. I naturalnie ci oficjalnie działający lobbyści muszą przestrzegać zasad etycznych, czyli np. nie mogą dawać łapówek w imieniu zagranicznych zleceniodawców. Reguluje to ustawa FARA uchwalona w pierwotnej wersji pod koniec lat 30. dla kontrolowania zabiegów hitlerowskich Niemiec o uzyskanie wpływów w USA.

Dane z rejestru FARA są publicznie dostępne i dzięki temu można oszacować, ile Rosja wydaje na promowanie swoich interesów i polerowanie wizerunku w USA.

Według danych niezależnej organizacji OpenSecrets przez ostatnie lata rejestrowane w FARA wydatki Rosji na propagandę i wywieranie wpływu w Stanach Zjednoczonych wleciały jak z katapulty.

W 2014 r., gdy na Rosję spadła pierwsza fala sankcji za aneksję Krymu, takie wydatki wyniosły 800 tys. dol. Ale do 2019 r. wleciały do 45 mln dol. i potem stopniowo malały do 35 mln dol. w zeszłym roku. W konsekwencji na liście państw wydających najwięcej na propagowanie swoich interesów w USA Rosja przeskoczyła z 76. miejsca w 2016 r. na trzecie w latach 2019-21.

W dużej mierze ten skok wynika z decyzji Departamentu Sprawiedliwości USA, który za prezydentury Donalda Trumpa w 2017 r. nakazał wpisać do rejestru FARA wydatki Rosji na finansowanie amerykańskiego oddziału państwowej stacji telewizyjnej RT (Russia Today), znanej propagandowej tuby Kremla.

Te dane nie obejmują jednak wydatków firm z Rosji na amerykańskich lobbystów. Często nie są one wpisywane do rejestru FARA ze względu na niespójności i luki w przepisach. Ale z innych rejestrów można się dowiedzieć, ile rosyjskie firmy płacą wpływowym w Waszyngtonie firmom lobbingowym.

Brytyjski dziennik „The Financial Times”, powołując się na dane organi-

zacji OpenSecrets, napisał, że potentaci lobbingowi USA od 2014 r. na klientach z Rosji zarobili prawie 50 mln dol.

Natomiast portal Politico policzył, że przez ostatnie sześć lat od objętych teraz sankcjami sześciu klientów z Rosji waszyngtońscy lobbyści dostali 18 mln dol.

WSPÓLNY BIZNES

Wielu Amerykanów wynajętych przez Rosjan to znane osoby, czasem byli kongresmeni, którzy po rezygnacji z polityki zaczęli w firmach lobbingowych odcinać kupony od swoich koneksji politycznych.

Zaledwie miesiąc przed napaścią Rosji na Ukrainę, gdy administracja prezydenta Joeego Bidena głośno zapowiadała sankcje w razie rosyjskiej agresji, kontrakt na 90 tys. dol. miesięcznie z rosyjskim bankiem Sowcombank podpisała znana firma lobbingowa Mercury Public Affairs.

Kierujący tą firmą Tobby Moffet, były kongresmen z partii Demokratów, i David Vitter, były senator z partii Republikanów, w listach do przedstawicieli administracji Bidena występowali przeciw nałożeniu sankcji na ten rosyjski prywatny bank, twierdząc, iż stracą na tym także amerykańscy inwestorzy. Bo rosyjski Sowcombank zarządzał funduszami emerytalnymi, ubezpieczeniami pracowniczymi i oszczędnościami ponad 40 amerykańskich firm.

Mercury zajmowała się też lobbingiem dla holdingu En+ kontrolowanego przez rosyjskiego oligarchę Olega Deripaskę.

Przed sankcjami USA rosyjski państwowy bank rozwoju VEB próbował chronić John E. Sweeney, były kongresmen z partii Republikanów. W 2016 r. był on zaangażowany w kampanię wyborczą Donalda Trumpa, a po jego wyborze na prezydenta USA pracował w zespole przygotowującym przejęcie władzy.

Sweeney został wynajęty do reprezentowania banku VEB w 2019 r. przez firmę International Centre for Legal Protection z Moskwy. Dostawał za to 62,5 tys. dol. miesięcznie i do zakończenia kontraktu w 2020 r. rozmawiał o ewentualnych sankcjach wobec tego banku rządu Rosji z szefami personelu Białego Domu i swoimi partyjnymi kolegami w Senacie USA, opublikował też artykuł krytykujący sankcje wobec Rosji.

Potem lobbowaniem dla VEB – także za 62,5 tys. dol. miesięcznie – zajęła się firma Geopols kierowana przez Grace Fenstermaker, która jest też wiceprezsem dużo bardziej znanej firmy lobbingowej Qorvis Communications.

Fenstermaker, która cztery lata temu została uhonorowana jako wschodząca gwiazda PR w Waszyngtonie, od 2014 r. jest doradcą ds. kontaktów publicznych



• **K Street, jedna z głównych arterii Waszyngtonu, przy której swoje biura mają firmy lobbingowe**

FOT. CHARLES DHARA-PAK/AP/EAST NEWS

Wpływ kosztuje

45
40

MLN DOL.

• **wydała Rosja w 2019 r. na propagandę i wywieranie wpływu w USA według danych niezależnej organizacji OpenSecrets. W zeszłym roku było to 35 mln dol.**

szwajcarskiej firmy Mercuria Energy Trading powstałej z przekształcenia J&S – głównego w przeszłości dostawcy rosyjskiej ropy naftowej do polskich rafinerii. Wśród klientów Fenstermaker byli także rosyjscy miliarderzy Aleksander Ponomarenko i Aleksander Skorobogatto. Robili oni interesy z oligarchą Arkadijem Rotenbergiem, który zbił fortunę za rządów swojego przyjaciela od młodości Władimira Putina.

Kontrolowany przez rząd Rosji bank VTB już w kwietniu 2015 r. podpisał umowę z firmą Sidley Austin na świadczenie w Kongresie i wobec rządu USA usług prawnych i lobbingowych „dotyczących nałożenia przez rząd USA sankcji na banki związane z Rosją”. Ta amerykańska firma co tydzień przekazywała też VTB memoranda polityczne wyjaśniające „wydarzenia w relacjach Stanów Zjednoczonych z Rosją”. Od 2016 r. na kontraktach z rosyjskim bankiem firma Sidley Austin zarobiła 2 mln 121 tys. dol. W imieniu tej firmy na rzecz banku VTB działali Rick Boucher, były kongresmen z partii Demokratów, i George W. Madison, były główny prawnik Departamentu Skarbu USA za prezydentury Baracka Obamy.

Dla VTB lobbowala też firma Manatos & Manatos, której szef Mike Manatos zasłynął z zebrań w 2016 r. wielkich funduszy na kampanię prezydencką Hillary Clinton, kandydatki Demokratów.

W tym wyborczym 2016 r. lobbowaniem na rzecz Sbirbanku, największego rosyjskiego banku, objętego ograniczonymi sankcjami po aneksji Krymu przez Rosję, zajęła się firma Podesta Group – jedna z największych w tym czasie firm lobbingowych w USA, dziś już nieistniejąca. Szef tej firmy Tony Podesta jest bratem Johna Podesty, który był wpływowym politykiem partii Demokratów i szefem kampanii wyborczej Hillary Clinton.

Konkurencyjną kampanią wyborczą Donalda Trumpa kierował zaś lobbysta Paul Manafort, który pracował m.in. dla oligarchy Olega Deripaski, blisko związanego z Putinem. Za łamanie przepisów FARA, ale także uchylanie się od płacenia podatków i inne oszustwa podatkowe, w 2019 r. Manafort został skazany na 7,5 roku więzienia, a Trump w ostatnim miesiącu swojej prezydentury ulaskawił go.

Od 2017 r. lobbowaniem dla Sbirbanku zajmowała się kolejna amerykańska firma Venable, zarabiając na tym 800 tys. dol. i zlecenie dla Sbirbanku powierzając byłym prawnikom z Kongresu i Departamentu Skarbu USA.

Kancelaria Squire Patton Baggs w latach 2014-17 za 1,5 mln dol. wykonywała zlecenia dla Gazprombanku. I chociaż od tego czasu nie informowała już o działaniach dla banku Gazpromu, to formalnie ciągle ma z nim umowę – jak zwrócił uwagę portal Politico.



NORD STREAM 2 – ZŁOTY STRZAŁ

Najszerzej kasę dla amerykańskich lobbystów otworzyła spółka Gazpromu odpowiedzialna za projekt bałtyckiego gazociągu Nord Stream 2 z Rosji do Niemiec. Gdy w 2017 r. amerykańscy kongresmeni zaczęli szykować sankcje, aby zapobiec budowie Nord Streamu 2, spółka Gazpromu do zajmowania się kwestiami „związanymi ze stanowiskiem USA wobec rurociągu Nord Stream 2, w tym potencjalnymi sankcjami finansowymi mającymi wpływ na ten projekt”, wynajęła firmę lobbującą Roberti Global. Jej szefem jest Vin Roberti, były kongresmen z partii Demokratów i jeden z największych sponsorów polityków tej partii, nieformalny doradca Joeego Bidena w jego prezydenckiej kampanii wyborczej w 2008 r.

Za lobbowanie dla Nord Streamu 2 firma Roberti Global dostawała ponad 600 tys. dol. kwartalnie i był to jeden z największych kontraktów lobbujących w USA w ostatnich latach. Łącznie na zabiegach o ochronę inwestycji Gazpromu przed sankcjami ta firma zarobiła ponad 9 mln dol.

W tym samym 2017 r. spółka Gazpromu do zajmowania się ustawą o sankcjach wobec Rosji, które obejmowały też Nord Stream 2, wynajęła jeszcze za 150 tys. dol. firmę lobbującą Capitol Co-

unsel zatrudniającą byłych współpracowników amerykańskich kongresmenów.

Od 2017 do 2020 r. lobbowaniem dla Nord Streamu 2 zajmował się też wspomniany wcześniej John E. Sweeney. Łącznie firmy, w których lobbował dla Nord Streamu 2, zarobiły na tym 520 tys. dol.

Kolejny duży kontrakt lobbujący Nord Stream 2 podpisał w 2020 r. z BGR Group, która zarobiła na tym ok. 2 mln dol., w tym 420 tys. tylko w tym roku do 23 lutego, kiedy Joe Biden w przeddzień napadnięcia Rosji na Ukrainę nałożył sankcje na spółkę Gazpromu odpowiedzialną za bałtycki gazociąg. W tej firmie lobbującym dla Nord Streamu 2 zajmował się Walker Roberts, były pracownik klubu Republikanów w Izbie Reprezentantów, wcześniej zatrudniony w administracji prezydenta Ronalda Reagana.

Także za prezydentury Reagana karierę w dyplomacji robił Richard Burt, który wtedy został ambasadorem USA w Niemczech Zachodnich, a potem za prezydenta George’a H.W. Busha był głównym amerykańskim negocjatorem umowy START ze Związkiem Sowieckim o redukcji broni strategicznej.

Burt zaangażował się także w lobbując dla Nord Streamu 2 w firmie McLarty Inbound. W 2016 r., kiedy Richard Burt doradzał w kampanii wyborczej Donalda Trumpa, firma ta dostała 550 tys. dol. od spółki Gazpromu odpowiedzialnej za bałtycki gazociąg. Potem podpisała umowę o lobbingu z pięcioma koncernami z Europy Zachodniej, które uczestniczyły w finansowaniu Nord Streamu 2. Od każdej z tych firm McLarty Inbound za lobbowanie na rzecz Nord Streamu 2 dostawała od 120 do 240 tys. dol. rocznie.

W ostatniej prezydenckiej kampanii wyborczej Richard Burt zmienił front i popierał kandydaturę Joeego Bidena. Burt w przeszłości lobbował także dla rosyjskiego oligarchy Olega Deripaski, a ostatnio zasiadał w radzie dyrektorów funduszu inwestycyjnego Letter One, który założyła w Luksemburgu grupa rosyjskich oligarchów kierowana przez Michaila Fridmana – wpisanego na czarną listę w USA i Wielkiej Brytanii.

Wszystkie te wydatki na lobbując Rosji, jej koncernów i oligarchów poszły na marne po wszczęciu wojny przeciw Ukrainie. Ale część amerykańskich dziennikarzy cynicznie zastanawia się, jak szybko w razie normalizacji relacji z Rosją lobbyści z Waszyngtonu zaczną ponownie przyjmować lukratywne zlecenia z Moskwy. ●

Świat w cieniu pandemii i wojny



▲ Jerzy Buzek, były premier i przewodniczący Parlamentu Europejskiego, będzie jednym z gości tegorocznego EKG

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach w dniach 25-27 kwietnia 2022 roku odbędzie się już 14. edycja Europejskiego Kongresu Gospodarczego. W programie jest blisko 150 debat. Wiele z nich będzie poświęconych wojnie w Ukrainie i jej wpływowi na europejską gospodarkę.

– Program tegorocznego Europejskiego Kongresu Gospodarczego nakreśliła aktualna sytuacja w Ukrainie. Od pierwszej szokowej reakcji czas przejść do zdecydowanych działań i długoterminowych planów, bo tego potrzebują zarówno walcząca Ukraina, jak i Polska oraz inne kraje europejskie i o tym będziemy debatować w gronie decydentów, przedstawicieli polskiej i europejskiej gospodarki, przedsiębiorców i biznesu – zapowiada Wojciech Kuśpik, prezes Grupy PTWP, inicjator i organizator Europejskiego Kongresu Gospodarczego.

Aktualna sytuacja w Ukrainie bez wątpienia niesie szeroko idące skutki dla polskiej i europejskiej gospodarki. Debatujący poszukają odpowiedzi na pytania m.in. o to, jak racjonalnie i efektywnie wspierać Ukrainę, jak zadbać o bezpieczeństwo energetyczne Europy, w jaki sposób postępujące uniezależnianie się Europy od importu paliw kopalnych z Rosji może wpłynąć na realizację ce-

lów zielonej transformacji sektora energii i całej gospodarki oraz jak zminimalizować negatywne skutki wojny dla europejskiej gospodarki.

Eksperti omówią także wpływ konfliktu w Ukrainie na stabilność finansów, otoczenie rynku kapitałowego, inflację i skłonność do inwestowania, przedyskutują, jak wojna wpłynie na przerwanie łańcuchów dostaw oraz w jaki sposób podnieść odporność biznesu na perturbacje wywołane pandemią i wojną.

W ramach XIV Europejskiego Kongresu Gospodarczego zaplanowano też szereg debat poświęconych zagadnieniom cyfrowej transformacji gospodarki. Cyberbezpieczeństwo, zagrożenie dezinformacją, wykorzystanie sztucznej inteligencji i kryptowalut – także te zakresy digitalizacji nie pozostają obojętne w obliczu wojny. Zaproszeni goście przedstawią technologie o największym potencjale i ich zastosowanie w praktyce, opowiedzą o robotach w branżach produkcyjnej i usługowej, chmurach, internecie rzeczy, sztucznej inteligencji, wirtualnej i rozszerzonej rzeczywistości.

Udział w debatach XIV Europejskiego Kongresu Gospodarczego zapowiedzieli przedstawiciele Komisji Europejskiej, m.in. unijny komisarz ds. energii Kadri Simson oraz wiceprzewodniczący wykonawczy Komisji Europejskiej ds. gospodarki służącej ludziom Valdis Dombrovskis.

Wśród prelegentów będą też m.in. Jerzy Buzek – poseł do Parlamentu Europejskiego, Paweł Borys – prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, Konrad Szymański – minister ds. Unii Europejskiej w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Brunon Bartkiewicz – prezes ING Banku Śląskiego, Rafał Brzóska – prezes InPostu, Rafał Sonik – prezes Gemini Holding czy Maciej Zieliński – prezes firmy Siemens.

Do Katowic wybiera się również kilkusobowa grupa dziennikarzy Wyborcza.biz. Na miejscu będziemy mieli swoje studio, w którym porozmawiamy z gośćmi EKG. Nasi dziennikarze poprowadzą też niektóre debaty. ●

Tomasz Czoik

wyborcza.biz

• Więcej czytaj na Wyborcza.biz



TEMAT NUMERU:

Jak się nie wypalić

124 STRONY
O TYM,
JAK MĄDRZE
WYKORZYSTAĆ
SWÓJ
POTENCJAŁ

Skąd się bierze wypalenie zawodowe i jak pracować, by go uniknąć?

KURS DOROTY WARAKOMSKIEJ: naucz się odmawiać

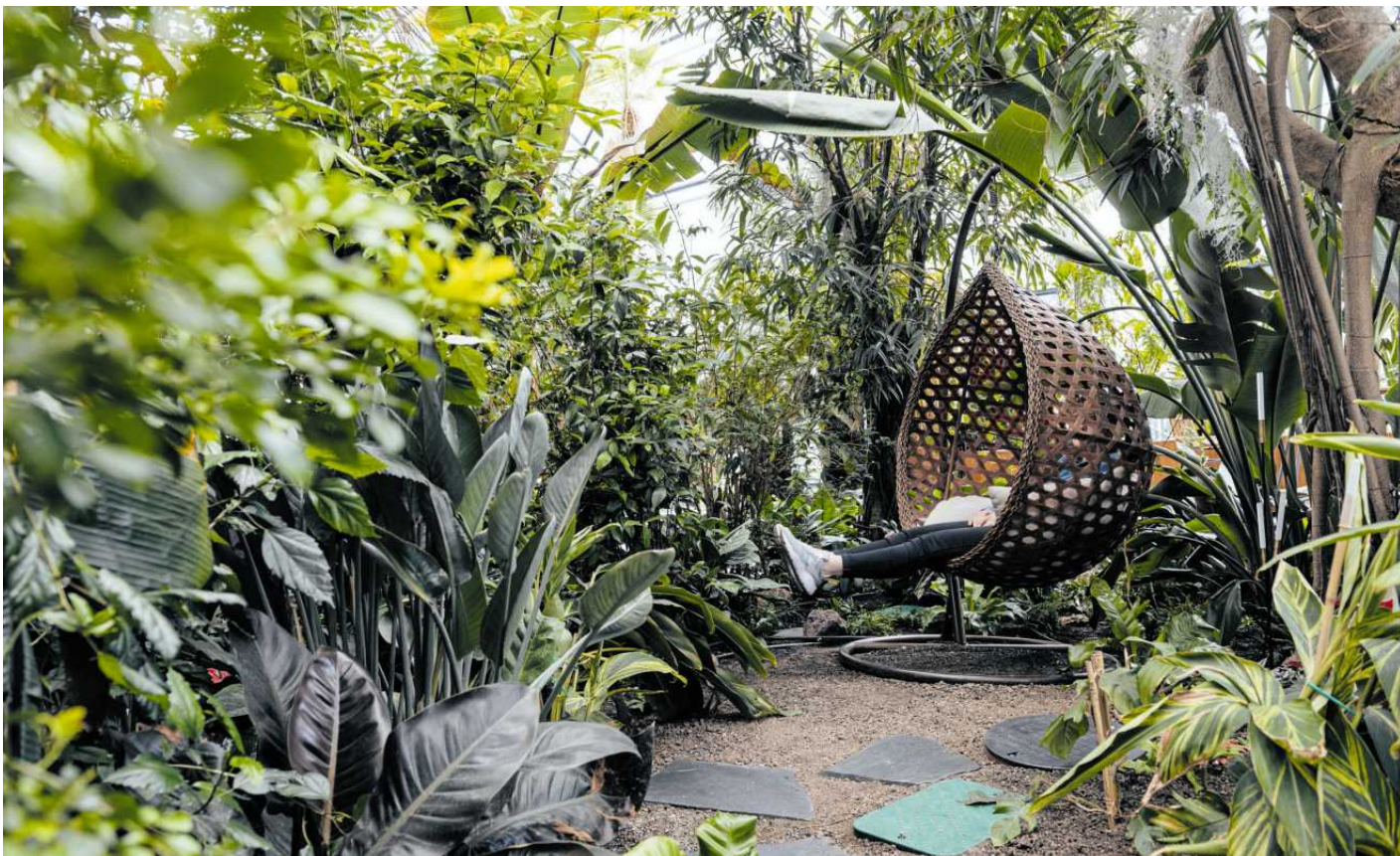
PSYCHOLOGIA: Jak azjatycka kultura i filozofia mogą nam pomóc w pracy



Dostępne w aplikacji „Wysokie Obcasy Extra”



KUP Z BEZPŁATNĄ DOSTAWĄ DO DOMU NA PRENUMERATA24.PL



Wracać do biur czy nie wracać?

Przemek: – Jeżeli o mnie chodzi, to pandemia mogłaby wybuchnąć ponownie, jeśli tylko da to gwarancję, że nie będę musiał wracać do biura.

Marta Piątkowska

• **MARIUSZ** na zakończenie pracy zdalnej czeka od kwietnia 2020 roku. – Moją historię doskonale ilustruje mem z Jackiem Nicholsonem. Ten z kadrem z „Lśnienia”. Podpis: „Zamknąć się w domu z rodziną? Co może pójść nie tak?”

• **MARZENA:** – Gdyby ktoś mi wcześniej powiedział, że nie chce wracać do pracy, bo miał romans z kolegą z działu na Teamsach, to pewnie bym się postukała palcem w czoło. Ale tak właśnie mi się zdarzyło. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy znów usiedli obok siebie.

• **PRZEMEK:** – Zacząłem pracę zdalnie. Nawet umowę do podpisania dostałem i odesłałem kurierem. Osobiście, na żywo, nie poznałem nikogo z firmy. W sumie mógłbym się minąć na ulicy z kimś z mojego działu i nawet bym o tym nie wiedział, bo ludzie od dłuższego czasu nie włączają kamerek. A mimo to biznes się kręci i wszyscy są zadowoleni. Jaki jest sens, żebym codziennie pokonywał w drodze do firmy ponad 80 km w obie strony? Jeżeli o mnie chodzi, to pandemia mogłaby wybuchnąć ponownie, jeśli tylko da to gwarancję, że nie będę musiał wracać do biura.

• **SYLWIA:** – Przytyłam. Nie jakieś pięć kilo, które zaraz wyskaczę z Chodakowską, tylko ponad 20. Siadła mi tarczyca. Wiem, co mnie czeka, jeśli znów zaczniemy pracować na miejscu w pełnym składzie.

• **KAROLINA:** – 3 tys. zł oszczędności miesięcznie. Jeżeli firma mi to wyrówna, to mogę wrócić do biura jeszcze dziś.

PRACA STACJONARNA? NIE, DZIĘKUJĘ

W ciągu ostatnich dwóch lat na temat pracy zdalnej powiedziano i napisano wszystko, choć w najważniejszych kwestiach nie osiągnięto zgody. Wciąż nie wiadomo, ile osób pracuje wyłącznie z domu, ile w trybie hybrydowym (dom + biuro), a ile codziennie pojawia się w pracy.

Według GUS pod koniec trzeciego kwartału 2021 roku zdalnie funkcjonowało zaledwie 5 proc. Polaków. Najwięcej w Warszawie, bo aż co siódma aktywna zawodowo osoba. Z kolei CBOS przedstawił na podstawie badania przeprowadzonego w analogicznym okresie, że całociowo poza biurem pracuje 8 proc. zatrudnionych, a 22 proc. w trybie mieszanym.

Na koniec sprawie przyjrzał się największy serwis rekrutacyjny w kraju Pracuj.pl. Wynik? Już 35 proc. Polaków pracuje zdalnie lub hybrydowo. Aż 9 na 10 osób nie chce wracać do modelu stacjonarnego, a co czwarta woli w pełni tryb zdalny. Co szczególnie istotne, blisko połowa, bo 44 proc. badanych, nie chciałaby aplikować do firmy, w której pracuje się tylko stacjonarnie.

Nastroje w Polsce odpowiadają tym na świecie. W USA zaledwie 3 proc. pracowników umysłowych chce chodzić do biura przez pięć dni w tygodniu – wynika z sondażu przeprowadzonego przez firmę konsultingową Advanced Workplace Associates. Jej eksperci ostrzegają: „Jeśli zmusicie pracowników do powrotu, ci po prostu od was odejdą”.

Andrew Mawson, dyrektor zarządzający AWA, podsumował badanie w iście amerykańskim stylu.

Pracodawcy muszą sobie zdawać sprawę, że dzin wyszedł z butelki. Pracownicy zauważyli, że elastyczność się sprawdza, a szefowie, którzy będą niewrażliwi na ich potrzeby, ucierpią.

PANDEMIA I PO PANDEMII

– Ostatnie dwa lata to było szaleństwo – mówi Marlena, menedżerka pracująca dla jednej z firm mieszczących się w warszawskim Mordorze. – Pierwsza fala, druga, trzecia. Dość szybko przeorganizowaliśmy część powierzchni biurowej, żeby spełniała wymogi epidemiologiczne, ale pracownicy i tak nie chcieli przychodzić. Nie mogliśmy im tego nakazać. Szczepnie mówiąc, nie wiem dlaczego. Chyba po prostu nie wypadało – przyznaje szczerze.

Kierownictwo firmy liczyło, że wraz z ustaniem pandemii pracownicy stracą swój koronny argument – obawę o zdrowie – i powrót nastąpi samoistnie. Ale się przeliczyli.

– Tuż przed zniesieniem nakazu noszenia maseczek w miejscach publicznych rozesłaliśmy do pracowników informacje, że od połowy kwietnia nasze biuro będzie ponownie gotowe na przyjęcie wszystkich pracowników, a na miejscu czekają nowe ekspresy do kawy. Dodatkowo jedno z pomieszczeń konferencyjnych przerobiliśmy na pokój relaksu. Jest w nim mnóstwo roślin, wygodne kanapy, a z głośników słychać odgłosy tropikalne

Wolimy pracować w domu

35

PROC.

• **Polaków pracuje zdalnie lub hybrydowo według badań serwisu Pracuj.pl. Aż 9 na 10 osób nie chce wracać do modelu stacjonarnego, a co czwarta woli w pełni tryb zdalny**

go lasu. Chęć powrotu zgłosiło 15 proc. załogi – rozkłada ręce Marlena.

Zgodnie z Kodeksem pracy to pracodawca wyznacza miejsce wykonywania obowiązków. Po zniesieniu przez rząd z dniem 28 marca niemal wszystkich obostrzeń już nic nie stoi na przeszkodzie, żeby powrócić do stanu sprzed marca 2020 roku. Nic, poza pracownikami.

ROMANS BEZ HAPPY ENDU

MARZENA

31 lat, warszawianka, pracuje w branży reklamowej

– Przed lockdownem się lubiliśmy, ale nic poza tym. Dopiero dzięki Teamsom poznaliśmy się prywatnie i momentalnie zaiskrzyło – zaczyna Marzena. Rozmowa jest dla niej trudna, ale – jak podkreśla – chciałaby się dowiedzieć, czy tylko ona znalazła się w takiej sytuacji.

– Pracowaliśmy przy wspólnym projekcie. Na początku kontakt był czysto służbowy, ale za którymś razem Daniel, odbierając połączenie, nie ukrył widoku tła i zobaczyłam, że ma na ścianie kolekcję plakatów z mojego ulubionego filmu. Okazało się, że muzykę też lubimy podobną, więc puszczaliśmy sobie ulubione kawałki podczas spotkań online – wspomina.

Wirtualne randki po półtora miesiąca przerodziły się w spotkania na żywo. Parę zostali niemal od razu.

– Na początku roku Daniel stwierdził, że nie widzi przed nami przyszłości, i odchodzi. To znaczy powiedział jeszcze wiele innych, bardzo przykrych rzeczy, za które go znienawidziłam. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy po tym wszystkim znów mieli usiąść dwa biurka od siebie. Kto chciałby codziennie widzieć osobę, która go zraniła? Zdalnie jakoś to ogarniam, bo powiedziałam szefowej, o co chodzi, i ta robi wszystko, żebyśmy mieli ze sobą jak najmnijesz kontakt. W sumie od stycznia wymieniliśmy tylko sześć służbowych maili – podlicza Marzena.

TO PROBLEM SZEFA, NIE MÓJ

PRZEMEK

28 lat, pracuje dla jednego z dużych sklepów internetowych, mieszka pod Wrocławiem

– Zmieniłem pracę w środku pandemii, bo w poprzedniej szefowa chciała, żebym przychodził do biura dwa dni w tygodniu. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej upewniałem się kilkukrotnie, czy praca będzie zdalna. Razem z dziewczyną remontujemy odziedziczony po dziadkach dom na wsi i tam chcemy mieszkać, ale pracować w mieście, tyle że bez bezsensownych dojazdów. Po co mam jeździć codziennie do Wrocławia? I tak cała moja praca jest online, w komputerze. A jednak mój szef powiedział na ostatnim zebraniu, że „na Teamsach nie czuje przepływu energii”. Nie wiem, co mu zapycha czakry, ale to jego problem, nie mój – Przemek kończy temat.

Trzy dni po naszej rozmowie napisał na Messengerze. „Hej, właśnie złożyłem wypowiedzenie. Będę szukał pracy w zagranicznych firmach, bo one raczej nie zmienią zdania co do trybu współpracy. Nie dam sobie wmówić, że praca zdalna to benefit, który można odebrać jak karnet na siłownię”.

ZDALNIE KONTROLUJĘ, CO WIDZĄ INNI

SYLWIA

38 lat, mieszka w Łodzi, pracuje w Warszawie, od 15 lat związana z branżą kosmetyczną

– Dla mnie odległość nie jest problemem, bo samochodem czy pociągiem dojazd do firmy zajmował mi ok. półtorej godziny, a i tak spóźniałam się rzadziej niż koleżanki, które mieszkaly blisko biura – zaczyna Sylwia. – Chodzi o to, że przez problemy z tarczycą bardzo przytyłam i dopóki nie zrobię ze sobą porządku, nie chcę, żeby inni mnie oceniali i mówili: „o, tej to lockdown wszedł za mocno”.

Teraz Sylwia na spotkaniach online pokazuje się jedynie od ramion w górę. – Jestem typową gruszką, panie będą wiedziały, o co chodzi, szczupła góra, cięższy dół. Tylko dlatego do tej pory udało mi się utrzymać moją „przemianę” w tajemnicy – podsumowuje.

OSZCZĘDZAM MNÓSTWO PIENIĘDZY

KAROLINA

43 lata, pracuje w firmie badawczej na Pomorzu, samodzielna mama

– Dzięki temu, że jestem cały czas w domu, mogłam wypisać synka z prywatnego przedszkola. Teraz na cztery godziny dziennie przychodzi do nas niania, którą uwielbia. Zabiera małego na spacer, plac zabaw, kładzie spać, a ja mam czas na spotkania i najintensywniejszą część służbowego grafiku. W firmie już się nauczyli, że najwięcej można ze mną załatwić między 10 a 14. Wcześniej niania też przychodziła na tyle samo, odpadł mi więc koszt prywatnego przedszkola, cateringu dla dziecka, dojazdów. Ponieważ nasza niania również gotuje obiady, to przestałam zamawiać luncha na mieście. Łącznie na zmianie trybu życia oszczędzam około 3 tys. miesięcznie. To jedyny powód, dla którego nie spieszy mi się z powrotem do biura. Bo tak dla siebie to wolę być między ludźmi. Tęsknię za dawną rutyną. Kawą pitą w samochodzie po odstawieniu małego do przedszkola, spontanicznymi zebraniami na patio, przepływem myśli, których nie udaje nam się wykrzesać zdalnie.

JUŻ CHŁODZĘ SZAMPANA

MARIUSZ

45-letni specjalista ds. finansów z Warszawy

– A mnie ta cała zdalność nie przypadła do gustu. Uważam, że przez nią poniosłem porażkę jako mąż, ojciec i właściciel psa. Pracownikami też w sumie mógłbym być lepszym.

– Tuż przed pandemią wzięliśmy do domu psa – kontynuuje Mariusz. – Miał być tymczasowo, ale przez całkowity lockdown sprawa ze znalezieniem mu rodziny się przeciągała. Poza tym był jedynym pretekstem do częstego wychodzenia z domu. Jedno okrażenie osiedla dawało nawet 20 minut spokoju. No i muszę przyznać, że tymi spacerkami dla podratowania naszej psychiki Rolka całkowicie rozregulowaliśmy. Zamiast zaprogramować go na konkretne pory wyjść, pies nauczył się, że cały dzień należy do niego. Wszystko ma na żądanie. Teraz często jest tak, że jak córka jest w szkole, żona ma telekonferencję, a ja spotkanie online z klientem, to Rolek dla zwrócenia na siebie uwagi ujad tak żałośnie, że pojawienie się ekopatrołu ze straży miejskiej jest tylko kwestią czasu.

Żona uważa, że to moja wina, bo nie byłem wystarczająco konsekwentny. Nie podoba jej się również, że w przeciwieństwie do mężów koleżanek nie zrobiłem żadnego remontu ani nie awansowałem. Zresztą ja też się już chyba jej nie podobam. Przez 20 lat chodziłem do pracy w garniturze, pod krawatem, a teraz to tak różnie jest. Głównie dresy, luźne dżinsy, koszulki z ulubionymi zespołami, których ona nigdy nie lubiła.

Córka też nie docenia mojego nowego stylu ani gustu muzycznego. Ostatnio puściłem jej kawalek Led Zeppelin, a ona na to: „OK. Boomer”. I wyszła z salonu.

Do pracy w firmie mamy wrócić w maju. Z biurowca blisko centrum przeniesiliśmy się do domu z ogrodem w dalszej, ale bardzo ładnej dzielnicy. Gdyby znowu wybuchła pandemia, będziemy mogli tak zorganizować przestrzeń, żeby wciąż mieć możliwość pracy na miejscu.

Czy się cieszę z powrotu? Oczywiście. Może córka ma rację i jestem z pokolenia Boomerów, którzy od wirtualnego kciuka w górę wolą realny uścisk ręki. Nie mam też najlepszego zdania o tych wideorozmowach. Tu ci przerwie, tam ktoś niedosłyszysz. Dużo niepotrzebnego bałaganu. Wszystko takie suche, sztuczne, mechaniczne. Nie czuję tego. ●

◀ Nie każdy pracę w trybie zdalnym wspomina w ten sposób, ale i nie wszyscy dziś chcą wracać do biur

FOT. BARTOSZ BANIKA
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Już teraz, po sześciu podwyżkach stóp procentowych i nowych rekomendacjach nadzoru finansowego, mało kto może dostać kredyt hipoteczny na wymarzone mieszkanie.

Anna Popiołek

Do października ub. roku kredyty hipoteczne sprzedawały się jak świeże bułeczki. Odetchnęliśmy z ulgą po wybuchu pandemii, widząc, że nie obniżyła pensji i wzrostu gospodarczego.

Patrzac na rekordowo niskie stopy procentowe, Polacy na potęgę zaciągali kredyty hipoteczne. Z jednej strony byli w świetnej sytuacji finansowej, a z drugiej kredyty hipoteczne były rekordowo tanie.

Trzymiesięczny wskaźnik WIBOR, który wraz z marżą banku decyduje o oprocentowaniu kredytu, wynosił 0,2 proc. To oznaczało, że biorąc pod uwagę średnią marżę na poziomie 2,61 proc., oprocentowanie hipoteki wynosiło średnio 2,81 proc. W dodatku mieszkania ciągle drożały, więc zgodnie z zasadą „kupujcie, taniej nie będzie”, rynek był rozgrzany do czerwoności.

Ale już od października 2021 roku sytuacja zaczęła się zmieniać. Rada Polityki Pieniężnej rozpoczęła podnoszenie stóp procentowych z rekordowo niskiego poziomu 0,1 proc. Po sześciu miesiącach główna stopa referencyjna wynosi już 3,5 proc. A jeszcze jesienią analitycy nie wierzyli, żeby stopy procentowe w tak krótkim czasie przebiły poziom sprzed wybuchu pandemii koronawirusa.

Powód obecnej sytuacji? Bank centralny walczy z szybującą inflacją, napędzaną przez drożące surowce energetyczne i żywność, których ceny podbija teraz dodatkowo wojna Rosji w Ukrainie.

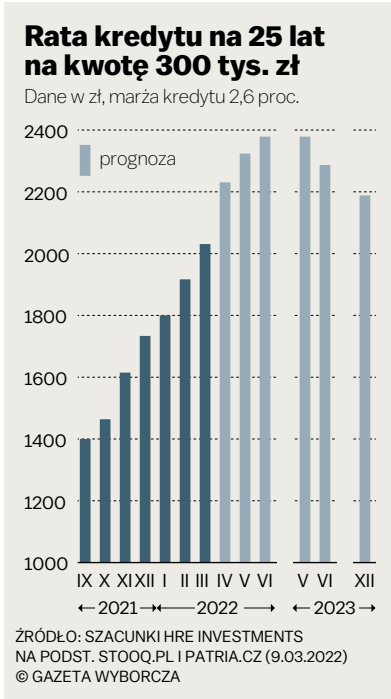
Wraz z podwyżkami stóp pnie się też WIBOR. Trzymiesięczny WIBOR wynosi już 4,72 proc., a 6-miesięczny 4,99 proc. To oznacza, że oprocentowanie kredytów hipotecznych w niektórych przypadkach (banki aktualizują oprocentowanie co 3 lub co 6 miesięcy) już wynosi ponad 7 proc.

Ci, którzy spodziewali się, że lada chwila RPP zacznie walczyć z drożyzną i rozpocznie cykl podwyżek stóp, mogli się przed tym zabezpieczyć. Jak? W ofercie wszystkich banków od końca czerwca ubiegłego roku były kredyty hipoteczne ze stałym oprocentowaniem na pięć lat. Jeszcze na jesieni oprocentowanie takich kredytów wynosiło mniej niż 4 proc. A teraz to już ok. 7 proc.

Przez podwyżki stóp procentowych od jesieni do połowy marca raty kredytów hipotecznych poszły w górę o ok. 50 proc. Przykład? Największe podwyżki rat pojawiają się w przypadku kredytów już spłacanych, udzielonych w 2021 r. Tu zadłużenie wciąż jest wysokie, a marża nie spadnie. Expander podaje, że np. przy kredycie na 300 tys. zł na 25 lat, udzielonym we wrześniu ubiegłego roku, rata wzrośnie z początkowego poziomu 1438 zł do 2071 zł.

KREDYT JUŻ NIE WYSTARCZY

Ale to dopiero początek złych wiadomości. Jednocześnie spada bowiem zdol-



Coraz wyższe stopy procentowe obniżają dostępność kredytów hipotecznych. Im wyższe oprocentowanie, tym więcej odsetek trzeba spłacać, więc niższa musi być kwota kredytu

ność kredytowa. Coraz wyższe stopy procentowe obniżają dostępność kredytów hipotecznych. Im wyższe oprocentowanie, tym więcej odsetek trzeba spłacać, więc niższa musi być kwota kredytu.

Jeszcze we wrześniu 2021 r. trzyosobowa rodzina z dochodem na poziomie dwóch średnich krajowych mogła pożyczyć na mieszkanie 700 tys. zł. A dziś to zaledwie 500 tys. Nawet przy założeniu, że dostali w tym czasie podwyżkę (średnio pensje wzrosły o blisko 10 proc.), to i tak mogliby pożyczyć o blisko 160 tys. zł mniej niż pół roku temu.

Od kwietnia będzie to nawet kolejne 20 proc. mniej. Powód? Komisja Nadzoru Finansowego nakazała bankom, aby przy wyliczaniu dostępnej kwoty kredytu zakładały podwyżkę stóp procentowych aż o 5 pkt. proc. (dotychczas było to 2,5 pkt. proc.). Skoro RPP podwyższyła stopę referencyjną do 3,5 proc., to banki muszą przyjmować, że wzrośnie do 8,5 proc. W swoich wyliczeniach bank musi więc zakładać, że oprocentowanie kredytu wzrośnie do ponad 10 proc., bo trzeba jeszcze doliczyć marżę.

A to nie koniec. Jak tłumaczy Expander, dodatkowo KNF wymaga, aby banki przyjmowały do wyliczeń bardziej realne koszty życia, uwzględniając np. oczekiwania inflacyjne. Obecnie banki często przyjmują bowiem koszty życia na poziomie minimum socjalnego.

Jeśli z wyliczeń banku wynika, że ktoś stać na spłatę raty wynoszącej nie więcej niż 3 tys. zł, to – według wyliczeń Expandera – dotychczas mógł liczyć na ok. 393 tys. zł kredytu. Po marcowej podwyżce stóp procentowych i uwzględnieniu podwyżek o 5 pkt. proc. ta dostępna kwota kredytu spadnie do 303 tys. To przy założeniu okresu spłaty 25 lat i marży 2,48 proc. (średnia przy 10-proc. wkładzie własnym). Jeszcze we wrześniu taka osoba mogła liczyć na 483 tys. .

Już w lutym wzrost stóp procentowych i spadek zdolności kredytowej

sprawiły, że liczba wypłaconych kredytów była najniższa od czterech lat. Z danych Biura Informacji Kredytowej wynika, że w lutym liczba udzielonych kredytów hipotecznych wyniosła zaledwie 14,9 tys. Po raz ostatni takie poziomy obserwowaliśmy w grudniu 2017 r.

A będzie gorzej (i drożej). Kredyty mieszkaniowe są procedowane dłużej, więc ich sprzedaż w lutym 2022 r. jest efektem wniosków składanych w grudniu 2021 r. i styczniu 2022 r.

To nie wszystko. Notowania kontraktów terminowych pokazują, że za pół roku 3-miesięczny WIBOR może być już na poziomie 6,5 proc. Wtedy oprocentowanie większości nowo udzielanych kredytów przekraczałoby 8 proc. Jak liczy Expander, ktoś, kto na jesieni mógł dostać 400 tys. zł, pod koniec marca 258 tys., po takim wzroście WIBOR-u dostałby już tylko 227 tys. zł.

A MIESZKANIA NIE TANIEJĄ

Do tej pory zwykle było tak: rosną stopy procentowe, to ceny mieszkań spadają. Stopy procentowe spadają – rosną ceny mieszkań. Teraz jednak mamy do czynienia z kolejną anomalią. Z raportu Expandera i Rentier.io wynika, że od 23 lutego do 15 marca aż o 14 proc. zwiększyła się liczba aktywnych i unikalnych ofert sprzedaży mieszkań. Jednak nie wygląda to na paniczną wyprzedaż. Ceny były wyższe niż pod koniec lutego.

– Powodem wzrostu liczby aktywnych ogłoszeń może być to, że znacznie wolniej znikają „stare” oferty. Zdecydowanie spadł bowiem popyt. Kolejną przyczyną może być fakt, że inwestorzy spekulacyjni przestali wierzyć w dalszy mocny wzrost cen mieszkań i postanowili wyjść „na górce”. Przyczyną może też być wojna w Ukrainie. Związane z nią obawy mogły sprawić, że niektórzy inwestorzy chcą spieniężyć część majątku – analizuje Jarosław Sadowski z Expandera.

I tłumaczy: – Do sprzedaży mogą też zachęcać coraz wyższe stopy procentowe. Z jednej strony powodują, że bardzo mocno wzrosły raty kredytów hipotecznych, co sprawia, że nie jest już możliwe pokrycie całej raty z przychodów z najmu. Z drugiej strony coraz łatwiej jest notować zyski wyższe niż te, które przynosi wynajem mieszkań.

Ekonomiści PKO BP przypominają z kolei, że badania ankietowe NBP wskazują, że 56 proc. dużych firm deweloperkich (produkcja powyżej 500 mieszkań rocznie) notowało w 2021 wzrost zainteresowania nabyciem mieszkań przez fundusze inwestujące w nieruchomości z myślą o ich najmie. W perspektywie kilku najbliższych lat inwestor będzie prawdopodobnie mógł liczyć na wyższą stopę zwrotu z najmu.

– Spodziewamy się, że ograniczenia podażowe wywołane wojną, które przyczynią się do wzrostu cen surowców, kosztów materiałów budowlanych i pracy, mogą zahamować decyzje o nowych projektach mieszkaniowych. Deweloperzy mogą wykazać się ostrożnością przy uruchamianiu nowych inwestycji, mając świadomość, że kolejna podwyżka cen oferty mogłaby nie zostać zaakceptowana przez osłabioną obecnie stronę popytową. Realizacja takiego scenariusza oznaczałaby, że w perspektywie kilku lat podaż mieszkań pozostanie niska, a ponowne ożywienie popytu, np. wskutek przejścia polityki pieniężnej w fazę łagodzenia, mogłoby wywołać ponowny silny wzrost cen – oceniają ekonomiści PKO BP w swoim najnowszym raporcie. ●

To zbliżenie może przesunąć środek ciężkości Europy

Badania socjologiczne potwierdzają: mamy do czynienia z ogromnym zbliżeniem pomiędzy narodami polskim i ukraińskim. To szansa na przesunięcie geopolitycznego punktu ciężkości naszego kontynentu.

Paweł Ciacek*
Piotr Łukasiewicz**

Co myślą Polacy na temat Ukrainy i jej obywateli? Jak czują się w obecnej sytuacji Ukraińcy? By się tego dowiedzieć, przeprowadziliśmy sondaż wśród obywateli polskich oraz wywiady z Ukraińcami – zarówno z uchodźcami uciekającymi w czasie obecnej wojny, jak i tymi, którzy już wcześniej mieli kontakt z Polską.

Najpierw rzut oka w przeszłość: w 1993 r. sympatię do Ukraińców wyrażało tylko 12 proc. Polaków (CBOS). Patrzyliśmy wtedy na nich jak na sąsiedzką wspólnotę narodową, ale niekoniecznie jeszcze państwową. Od lat 90. trwa imigracja zarobkowa, a najczęściej spotykaną relacją polsko-ukraińską staje się relacja pracodawca-pracownik. Sympatia do Ukraińców stopniowo rosła, osiągnęła 43 proc. w 2021 r. (CBOS), a więc jeszcze przed wojną. Wojna podbiła pozytywne emocje, ale podłoże dla nich zostało zbudowane już wcześniej.

Wśród emocji na plan pierwszy wybija się współczucie wobec uchodźców. Dalej znajduje się podziw wobec tych, którzy stawiają czoło silniejszemu, dobrze znanemu Polakom wrogowi. Ten emocjonalny krajobraz jest głównie biały, ale są na nim ciemniejsze rysy, czyli niepokój i obawa, które deklaruje 18 proc. respondentów.

W 1993 r. sympatię do Ukraińców wyrażało tylko 12 proc. Polaków (CBOS). Ten wskaźnik stopniowo rósł i osiągnął w 2021 r. 43 proc. (CBOS)

W Polsce Ukraińcy wypełniali raczej luki na rynku pracy, reprezentując inny rodzaj kwalifikacji i niższy poziom oczekiwań płacowych. Ze strony pracodawców płynęły postulaty, by ułatwiać zatrudnianie pracowników ze wschodu. Jednak kwestia nierówności płacowych między Polakami a obywatelami Ukrainy może stanowić potencjalne zarzewie konfliktu. Jest bowiem postrzegana przez Ukraińców jako niesprawiedliwa.

Obywatele Ukrainy podkreślają, że niejednokrotnie stykali się na rynku pracy ze zjawiskiem szklanego sufitu, który uniemożliwiał im awans zawodowy do poziomu właściwego dla ich kompetencji, oraz z praktykami dyskryminacji w płacach. Podkreślają, że mają wysoki etos pracy, któremu sprzyjały również warunki ekonomiczne w Ukrainie. Chcą, by otwartość polskiego społeczeństwa znalazła także przełożenie na równe traktowanie pod względem zawodowym.

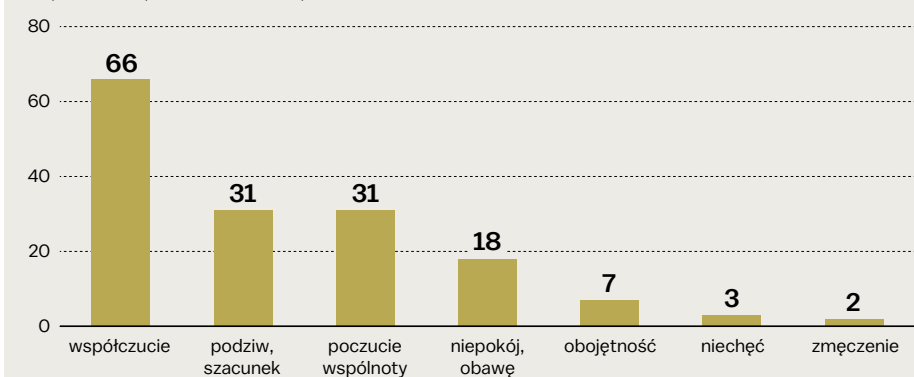
Polacy w zdecydowanej większości opowiadają się za wsparciem dla członkostwa Ukrainy zarówno w NATO (74 proc.), jak i UE (80 proc.). Tu również działa nastrój chwili – za te dążenia Rosja zaatakowała Ukrainę, więc elementarna solidarność nakazuje je wspierać. Jednakże z pragmatycznego punktu widzenia obecność Ukrainy w tych stowarzyszeniach więcej od Polski wymaga, niż jej daje.

Przynależność do NATO? To nas zobowiązuje do udzielenia Ukrainie pomocy militarnej w razie konfliktu z Rosją. Przynależność do UE? Ukraina to jeden z największych krajów w Europie, a jednocześnie odstający od średniej europejskiej pod względem poziomu życia. Będzie naturalnym konkurentem dla Polski, która obecnie jest największym beneficjentem funduszy spójnościowych.

Nasi badani nie przeprowadzali zapewne takich analiz, odpowiadali raczej z odruchu serca. Można jednak sądzić, że zdawali sobie sprawę, że integracja Ukrainy z Euro-

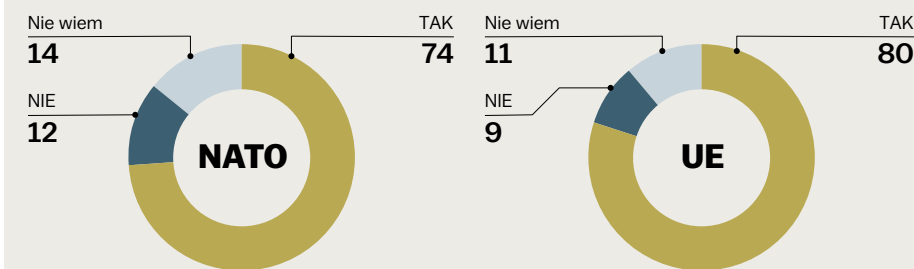
Co czujemy wobec uchodźców z Ukrainy?

Odpowiedzi w proc. (możliwe 2 odpowiedzi)



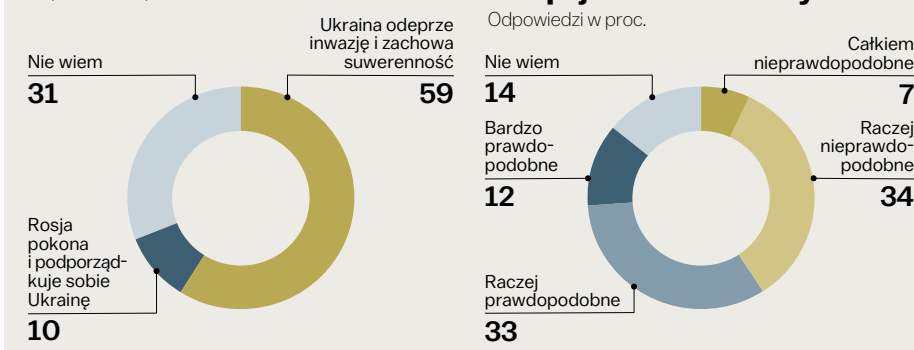
Czy Polska powinna pomóc Ukrainie w członkostwie w...

Odpowiedzi w proc.



Kto wygra wojnę w Ukrainie według Polaków?

Odpowiedzi w proc.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: SONDAŻ RESEARCH COLLECTIVE (10-15.03.2022 R.)

pą i z NATO oznacza również problemy, których do tej pory nie odczuwaliśmy. Mimo to odpowiadali na to pytanie bez większych wahnię – trudności z odpowiedzią miało 14 proc. (NATO) i 11 proc. (UE).

Poczucie uniesienia w naszym stosunku do Ukrainy jest widoczne także w tym, że większość badanych uważa, że Ukraina wojnę wygra.

Wygrana Ukrainy w wojnie z Rosją poza konsekwencjami geopolitycznymi, związanymi z bezpieczeństwem militarnym i ekonomicznym, pozwoliłaby na umocnienie przekonania, że Ukraina jest częścią Europy. To unikalna szansa na zdefiniowanie zasięgu Europy i jej wartości na nowo. Pytanie, czy Europa, zmęczona swoją historią i konfliktami, będzie w stanie odpowiedzieć pozytywnie na te wyzwania.

Opinia Polaków o prawdopodobieństwie przetrwania się obecnej wojny w konflikt kontynentalny lub światowy jest dość równo podzielona. 45 proc. uznaje taki czarny scenariusz za „bardzo” lub „raczej” prawdopodobny. 41 proc. za „zupełnie” lub „raczej” nieprawdopodobny. Obok grozy wojny będziemy więc musieli zmierzyć się z innym dewastującym uczuciem: niepewnością. Odkąd wojna w Europie stała się do pomyślenia, będzie nam towarzyszyć niepokój przy każdym napięciu międzynarodowym. Dla Europejczyków to prawdziwy koniec historii – nie tej złej, tylko tej dobrej.

Patrząc na wyniki naszego badania w szerszym kontekście, widać, że mamy

do czynienia z ogromnym zbliżeniem pomiędzy narodami polskim i ukraińskim. To nie tylko szansa na przesunięcie granic Europy Zachodniej dalej na wschód, ale także szansa na przesunięcie geopolitycznego punktu ciężkości naszego kontynentu. Polska i Ukraina to dwa duże, sąsiadujące ze sobą kraje, których języki są podobne; których obywatele pracują ze sobą na co dzień; mające podobne interesy geopolityczne. Teraz również związane emocjami współczucia z jednej strony i wdzięczności z drugiej.

Czyżby szansa na piękne entente cordiale? Tak, jeśli uda nam się ją dobrze wykorzystać i zbudować w Polsce mocne instytucjonalne podstawy współistnienia pomiędzy naszymi narodami. ●

*** Paweł Ciacek**, socjolog, obserwator trendów konsumenckich i społecznych z firmy Research Collective

**** Dr Piotr Łukasiewicz**, socjolog, konsultant ds. marek, analityk trendów konsumenckich i społecznych z firmy Research Collective

Sondaż przeprowadzony przez firmę Research Collective w dniach 10-15 marca 2022 r., metoda wywiadów telefonicznych, n=800, próba reprezentatywna mieszkańców Polski w wieku 18+. Zogniskowane wywiady grupowe zostały przeprowadzone 25 marca 2022 r. w Warszawie.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pana

dr.

Kazimierza Janiszewskiego



Słowa otuchy oraz wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie oraz Najbliższym

składa

Zarząd i Pracownicy
Firmy HAMMERmed

www.nekrologiwyborcza.pl/34169268

Dominika Wielowieyska

Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski zorganizował w Sejmie konferencję poświęconą 25. rocznicy uchwalenia Konstytucji RP. Zaprosił liderów największych partii opozycyjnych: Donalda Tuska (PO), Szymona Hołownię (Polska 2050), Władysława Kosiniaka-Kamysza (PSL) oraz dwóch współprzewodniczących Lewicy – Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia. Spotkanie prowadziła politolożka dr Anna Materska-Sosnowska.

Hołownia, Kosiniak-Kamysz: Nowelizacja konstytucji będzie potrzebna

Szymon Hołownia zadeklarował, że chce przygotować się na moment, w którym opozycja byłaby w stanie poprawić konstytucję. Jego zdaniem ustawę zasadniczą trzeba zabezpieczyć przed dzisiejszymi wypaczeniami. – Opozycja stanie przed pytaniem, czy zreformować sądownictwo konstytucyjne, czy postawić na rozproszoną kontrolę konstytucyjną, stosowaną przez sądy – stwierdził. Hołownia uważa, że można dyskutować, czy w konstytucji nie powinien się znaleźć rozdział poświęcony naszemu członkostwu w Unii Europejskiej i NATO.

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz stwierdził, że opozycję demokratyczną łączy poszanowanie dla konstytucji. – To jest fundament, niezależnie od tego, w jakiej konstelacji pójdziemy do wyborów. To jest fundament lepszej Polski po kolejnych wyborach. To jest nadzieja, że ta konstytucja będzie przestrzegana, ale także, że będzie lepsza, bo ta rewizja jest potrzebna. Życie zmieniło się przez 25 lat. Nie było np. dostępu do internetu. Nie było wszystkich szczebli samorządu – powiedział Kosiniak-Kamysz. Dodał, że w konstytucji są potrzebne bezpieczniki, bo ci, którzy tworzyli ustawę zasadniczą, mieli nadzieję na dobrą wolę kolejnych rządzących, którzy nie będą jej niszczyć. Zdaniem szefa PSL bezpiecznikami mogą być ustawy ustrojowe, które zagwarantują wartości demokratyczne w wymiarze sprawiedliwości, służbie cywilnej, w sferze wolności mediów. Takie ustawy nie mogłyby być zmienione zwykłą większością głosów. – To jest ta lek-



• Liderów największych partii opozycyjnych zaprosił do Sejmu wice-marszałek Piotr Zgorzelski FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Miało być o konstytucji, było o taktyce

Razem czy w dwóch blokach? Debata szefów ugrupowań opozycyjnych o ustawie zasadniczej zamieniła się w dyskusję o tym, jak odsunąć PiS od władzy.

cja, którą odrobiliśmy przez te siedem ostatnich lat – powiedział Kosiniak-Kamysz. Ponowił propozycję, aby w konstytucji zapisać nasze członkostwo w UE i NATO jako potwierdzenie, że „należymy do cywilizacji państw zachodnich”.

Tusk: Od zmiany konstytucji ważniejsze jest zwycięstwo w wyborach

Donald Tusk zaczął swoje wystąpienie od uwagi, że jest tylko jed-

nym z liderów Koalicji Obywatelskiej i w związku z tym powitał m.in. obecną na sali Barbarę Nowacką, szefową Inicjatywy Polskiej, która do Koalicji należy. Lider PO powiedział, że jest wystarczająco dużo powodów, aby nie przejmować się projektami naprawy konstytucji, bo nasza konstytucja zdaje egzamin, „jeśli chodzi o słowa”. – Wiem, że są różne pomysły, sam wspieram pewne korekty, ale my byśmy sobie dobrze radzili jako Polska bez najmniejszej zmiany

konstytucji, jeśli byśmy się umówili, tutaj akurat na tej sali nie mielibyśmy z tym problemu, że przestrzegamy konstytucji mimo nawet najbardziej drastycznych różnic i konfliktów. Problemem Polski nie jest słaba konstytucja. Problemem tej konstytucji nie jest brak zabezpieczeń. Problemem Polski, obywateli i obywateli, jest to, że do władzy doszli ludzie, którzy tę konstytucję świadomie i cynicznie gwałcą, i to w najistotniejszych jej fragmentach – powiedział Tusk, zbierając oklaski z sali.

Stwierdził, że ze względu na szacunek dla konstytucji zastanawiałby się – szczególnie w tym gronie – jak odsunąć od władzy ludzi, którzy ją unieważniają. – Jestem szefem ugrupowania, które stara się zmienić tę sytuację, ale jestem też w pełni świadomy, że nie ma dziś ugrupowania politycznego, które mogłoby samodzielnie nie tylko zmienić konstytucję, ale nawet pokonać tych, którzy tę konstytucję łamią permanentnie.

Czarzasty, Biedroń: Konstytucja to nie tylko sądy i praworządność

Włodzimierz Czarzasty stwierdził, że trzeba wierzyć na 100 proc., że „te wybory wygramy”.

– Trzeba szukać wszystkich dróg do tego celu. W sprawie konstytucji najbliższe mojemu sercu jest to, co przekazał Donald Tusk. Może to znak czasu. W naszym kraju wydarzyły się cztery rzeczy, w których konstytucja się sprawdziła: katastrofa smoleńska, Białoruś, Ukraina i COVID. Natomiast wydarzyła się piąta sprawa: łamanie zasad praworządności, ale zawsze się znajdzie ktoś, kto bez względu na to, jakie jest prawo, będzie chciał to prawo ominąć. To prawo będzie chciał zdeptać. W związku z tym tej konstytucji trzeba bronić, a nie myśleć, jak ją zmienić – stwierdził.

Robert Biedroń zauważył, że spora część społeczeństwa nie wierzy w konstytucję, nie czuje przekonania, że należy jej bronić, bo politycy potraktowali ustawę zasadniczą jak menu à la carte. – Wybieramy z niej to, co jest bliskie naszym interesom. Nie myśleliśmy, aby ją realizować od A do Z. Zgadząmy się: trzeba bronić praworządności. Ale w tej samej konstytucji zapisaliśmy równość kobiet i mężczyzn. A tu na tej debacie siedzą

sami faceci, to też jest porażka polskiej demokracji. Porażką jest to, że przez te lata nie zrobiliśmy tego, na co się umówiliśmy: nie rozdzieliliśmy państwa od Kościoła, nie doprowadziliśmy do tego, aby nikt nie był dyskryminowany. Konkretni ludzie są obiektem nagonki rządzących. Czy zrobiliśmy wszystko? Ja uważam, że nie. To porażka elit politycznych ostatnich 25 lat – podsumował Biedroń.

On także jest przekonany, że dyskusja o zmianach w konstytucji jest dziś niepotrzebna, i postulował rozmowę o konstytucji dla Europy, bo „ludzie potrzebują wspólnoty i solidarności”.

Wierzę, że tę piątkę będziemy częściej oglądać razem

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
były prezydent RP

Kosiniak-Kamysz w odpowiedzi na wystąpienie Biedronia zauważył: – Skoro u was liderów jest dwóch, to jednak trzeba było jedną przewodniczącą wybrać.

Zaraz jednak zastrzegł: – Ale to z sympatią mówię.

Tusk: Przed wyborami trzeba dodawać, nie odejmować

Po wypowiedzi Kosiniaka-Kamysza Tusk wrócił do wątku odsunięcia PiS od władzy. – Polityka jest prostą grą: mamy 30 proc. poparcia, to jest za mało. Nie będę udawał, że mam jakieś złote klucze. Prosta kalkulacja powinna wziąć górę nad wątpliwościami, bo tak naprawdę największą słabością obozu demokratycznego jest hipokryzja. Jeśli chcemy wygrać wybory, to musimy poddawać, a nie odejmować – powiedział przewodniczący Platformy. ●

wyborcza.pl

• Więcej na Wyborcza.pl

Co zrobiliśmy
gejom i lesbijkom

Toni Morrison:
dowcipna szamanka

OWSIŚCIŚCZNIK
LUTY 2022

WYBORCZA KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Konopnicka
Kim była,
zanim się nam
znudziła?

Smak polski:
dewolaje i Szanghaje

Instrukcja okrucieństwa
z listy lektur szkolnych

Sponsor numeru
Tony Judt

Pogotowie
moralne *Książki*
Masz
dylemat?
Pomożemy

Mały przewodnik po twórczości Toni Morrison

Magdalena Grzebałkowska liczy kochanków Konopnickiej

Marek Bieńczyk o wpływie ideologii na jedzenie w PRL'u

Dubravka Ugrešić ostrzega przed szarlatanami

Maciej Jarkowiec o fenomenie siedmiodniowego tygodnia

Jacek Szcherba portretuje Mike'a Nicholasa, reżysera „Absolwenta”

Więcej na:
Wyborcza.pl/ksiazki

Zamów do domu z darmową dostawą:
Prenumerata24.pl

Wojna w Ukrainie i praworządność w Polsce

Nie teraz? A właśnie, że teraz!

Sadurski

Wojciech Sadurski jest profesorem na wydziale prawa Uniwersytetu Sydneyjskiego i w Centrum Europejskim UW, a obecnie profesorem gościnnym na Rutgers University w USA. Twitter @WojSadurski

Opinia 1: „Obecnie trzeba jeszcze mocniej bronić demokracji, praworządności i niezależnych sądów w Polsce, bo ich brak prowadzi do takiego systemu, jaki panuje w Rosji” – z tym zdaniem zgadza się 75 procent pytaných, 13 procent się nie zgadza, 12 procent odpowiada „trudno powiedzieć”.
Opinia 2: „Mimo politycznych różnic teraz, w sytuacji zagrożenia, trzeba wspierać działania obozu rządzącego, a spory odłożyć na inny czas” – z tym zdaniem zgadza się 78 procent, nie zgadza się 13 procent, a 9 procent odpowiada „trudno powiedzieć”.

Ten sondaż Kantara, dotyczący polskich reakcji na inwazję Putina, relacjonuje w „Polityce” Mariusz Janicki („Polityka” 29.03.2022). Na pierwszy rzut oka między dwiema odpowiedziami zachodzi sprzeczność. Oslupienie tym wynikiem wzmocnione jest przez fakt, że oba stwierdzenia mają za sobą potężną i prawie identyczną większość, rzadko spotykaną w spolaryzowanej polskiej opinii publicznej. Czyli jednocześnie zdecydowana większość Polaków uważa, że właśnie dziś należy szczególnie patrzeć władzy na ręce i że nie teraz jest czas na zajmowanie się czymkolwiek poza zagrożeniem wojennym. Jak to wytłumaczyć?
Janicki podsuwa wyjaśnienie, pisząc, że wysoki procent elektoratu PiS (aż 70 procent) zgadza się z pierwszym stwierdzeniem, ale tylko dlatego, że „zwolennicy PiS odebrali to po swojemu: iż należy dbać o pisowską wersję demokracji, takąż praworządność i niezależność sądów od »kasty«”. To jest dość prawdopodobne. Lata propagandy zrobiły swoje. Ograniczanie

niezawisłości sędziów może być traktowane jako „prawdziwa praworządność”, gdyż sprowadza sędziów do ich właściwej roli, zaś limitowanie roli opozycji może być traktowane jako „prawdziwa demokracja”, skoro suweren złożył ufnie swój los w ręce zwycięskiej koalicji.
Być może... Ale mam kłopot z przyznaniem, że aż tak przytłaczająca większość moich rodaków uwierzyła w takie idiotyzmy. Oznaczałoby to, że demokracja nie ma przyszłości w Polsce, trudno bowiem mieć demokrację bez demokratów. Poszukajmy więc innych tłumaczeń.

Zachowanie polityków „dobrej zmiany” pokazuje, że właśnie teraz nie wolno im ufać za grosz

Pierwsze stwierdzenie (z dwóch zaproponowanych respondentom w sondażu), powiem to od razu i bez wahania, jest dla mnie słuszne i racjonalne. Właśnie teraz, pod przykrywką wojny i wyzwania uchodźczego, trzeba władzę specjalnie kontrolować, gdyż właśnie teraz ma ona okazję do szybkiego i w miarę bezkarnego rozmontowania resztek praworządności. Zjawisko „owijania się władzy we flagę” jest dobrze znane: w czasie wojny lub podobnych zagrożeń autorytaryści mają nadzwyczajną okazję do brewerii, które mogą im ująć na sucho. Dlatego w takich chwilach tym bardziej trzeba być uważnym i kontrolować polityków.

W Polsce nie jest to czysto teoretyczna możliwość, ale jak najbardziej realna praktyka „dobrej zmiany”. Wojna wybuchła, ale władza bynajmniej nie skupia się wyłącznie na płynących stąd zagrożeniach.

Prezydent Duda w najlepsze powołuje, w przyspieszonym nawet tempie, neo-sędziów rekomendowanych przez neo-KRS; ta ostatnia bezwstydnie skrzykuje swoich zaufanych towarzyszy do nowej kadencji; władza co rusz usiłuje wpisać lewe przepisy (typu „bezkarność plus” albo budżet obronny częściowo ukryty w nietransparentnym funduszu) do ustaw na cele całkowicie niezwiązane z ich tytułami; sterowany przez władzę wykonawczą Trybunał zawiesza traktaty europejskie i europejską konwencję; rząd przebąkuje o całkowicie niepotrzebnej zmianie konstytucji; Izba Dyscyplinarna szarogęsi się jak dawniej, pod nowo powołanym przez prezydenta szefostwem, a ustawowe projekty zmian tego instytucyjnego potworka są zwykłym kręctwem polegającym na zmianie szyl-du dla oszukania Komisji Europejskiej; minister proponuje ustawę mającą wziąć NGO-sy pod but na wzór putinowski; TVP wzmaga ataki na opozycję, zaprzeczając oficjalnym wezwaniom do jednoci, przy czym Tusk jest czarniejszym charakterem niż Putin; prezes PiS, po kilku miesiącach spokoju, właśnie w czasie wojny wraca do zatruwającego polskie życie publiczne kłamstwa smoleńskiego i wyciąga groteskowo-groźnego Antoniego z szafy.
Mało? Można przytoczyć więcej, ale chyba nie warto. Zachowanie ludzi „dobrej zmiany”, z prezydentem, prezesem PiS i premierem włącznie, pokazu-

je, że właśnie teraz nie wolno im ufać za grosz. Niestety, na tę marną reputację zapracowali bardzo solidnie.
Drugie stwierdzenie zaakceptowane przez respondentów sondażu „Polityki” to „Nie teraz!”. „Nieterazowcy” przekonują, błędnie moim zdaniem, że wszystko to, co przed chwilą streściłem, nie liczy się, bo przecież jest wojna i są uchodźcy. „Nieterazowcy” egzemplifikują zjawisko „skupiania się pod flagą”. Znów – zjawisko społeczne dobrze rozpoznane.
A więc jak pogodzić „Właśnie teraz” z „Nie teraz”, skoro obie odpowiedzi zostały wybrane przez trzy czwarte respondentów? Moim zdaniem nie ma tu sprzeczności, a tylko napięcie między rozumem a emocjami. Pierwsze pytanie należy do strefy rozumu, a zatem respondenci odpowiedzieli racjonalnie. Rozum, doświadczenie życiowe, wiedza – każą podejrzewać, że rząd, który i tak ma już wiele nieuczciwości na sumieniu, zechce wykorzystać obecną tragedię do niecných celów. Ostrożność, rozważa i przezorność każą więc obywatelom właśnie teraz zachować szczególną czujność.

Ale drugie stwierdzenie należy do strefy emocji. „Sytuacja zagrożenia”, wspomniana w pytaniu, wywołuje lęki, obawy, przerażenie – czyli silne egzystencjalne emocje. W takiej sferze ludzie mają tendencję do zawieszania intelektu i kierowania się impulsami i uczuciami, bo kieruje nimi trauma. To też naturalne.
Sęk w tym, że gdy przychodzi do działań publicznych, należy wybrać między dwoma wzajemnie wykluczającymi się postulatami. W tej sferze, w kontraście do miłości, przyjaźni lub wiary, opowiadam się za rozumem.●

Szpiegostwo nieumyślne

Nowy bicz Ziobry na NGO-sy

Rutynowska

Ministerstwo Sprawiedliwości ogłosiło, że prowadzi prace nad zmianami w prawie karnym. Tym razem chodzi o zaostrzenie odpowiedzialności karnej za przestępstwo szpiegostwa, a także wprowadzenie przestępstwa „szpiegostwa nieumyślnego”, za które będzie groziła kara więzienia od trzech miesięcy do pięciu lat. Taki zapis może służyć do ścigania działaczy organizacji pozarządowych, którzy narażają się na władzę.
Dziś przestępstwo szpiegostwa polega na udziale w działalności obcego wywiadu przeciwko Polsce lub udzielaniu mu wiadomości, których przekazanie może wyrządzić szkodę państwu polskiemu. Karalne jest także gromadzenie, przechowywanie takich informacji, a także wchodzenie do systemu informatycznego w celu ich uzyskania oraz zgłaszanie gotowości działania na rzecz obcego wywiadu przeciwko Polsce.
Kluczowym elementem jest udowodnienie, że sprawca działał umyślnie. Aby bowiem szpiegować, trzeba świadomie nawiązać kontakt z obcym wywiadem i brać w nim czynny udział lub działać na jego rzecz, udzielając mu

wiadomości. Kwestią otwartą pozostaje jednak to, kim lub czym dokładnie obcy wywiad jest. Kodeks nie zawiera jego definicji, dlatego zastosowanie przepisu dotyczącego szpiegostwa podlega pewnej dozie interpretacji. I prokuratorskiej wyobraźni. Oczywiście istnieją różne definicje wywiadu, nie są one jednak prawnie obowiązujące na potrzeby kodeksu karnego.
Nie każda z tych definicji zawiera chociażby konieczność zbierania informacji w sposób tajny. Wywiad może również wykorzystywać ogólnie dostępne dane (tzw. biały wywiad). O ile w praktyce za działania wywiadowcze nie uznawano dotychczas aktywności zagranicznych agencji prasowych, radiowych czy też telewizyjnych albo informacyjnych służb obcych przedstawicielstw dyplomatycznych, nie oznacza to, że za taką działalność nie można uznać działań poszczególnych pracowników takich podmiotów.
O ile więc udzielenie wywiadu obcej telewizji co do zasady nie jest „przekazywaniem informacji obcemu wywiadowi”, o tyle może się nim stać, jeśli dziennikarz zadający pytania okaże się np. współpracownikiem służb. Jednakże nadal, aby można było postawić za-

rzut szpiegostwa, odpowiadający na pytania tego dziennikarza musiałby wiedzieć, że przekazuje informacje obcemu wywiadowi.
Po planowanej zmianie prawa ściągana za szpiegostwo będzie mogła być osoba, która bez swojej wiedzy rozmawiała z dziennikarzem-szpiegiem lub kimkolwiek działającym w ramach obcego wywiadu i przekazała mu informacje na temat, który w ocenie prokuratury może wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.
„Szkoda” nie musi nastąpić w rzeczywistości. Penalizowane jest samo zagrożenie jej wystąpienia. Zatem jeśli za szkodliwe uznane zostanie np. przekazywanie informacji mogących np. wstrzymać zagraniczne inwestycje w Polsce (np. ze względu na potwierdzenie wątpliwości co do stabilności prawa) lub udzielenie informacji wpływających na utrzymanie sankcji nałożonych na Polskę (np. poprzez dostarczanie informacji o tym, dlaczego podejmowane kroki legislacyjne nie doprowadzą do przywrócenia standardów europejskich) – organizacje pozarządowe działające na rzecz praworządności, demokracji oraz praw człowieka mogą mieć problem.

Działania NGO-sów w dużej mierze opierają się na międzynarodowej współpracy, również ze służbami konsularnymi wielu państw, które chcąc wiedzieć, co dzieje się w państwie sojusznicznym, często angażują się w dialog ze społeczeństwem obywatelskim. Na podstawie otrzymywanych informacji inne państwa kształtują swoją postawę wobec rządzących, np. domagając się przestrzegania zasad traktatowych Unii Europejskiej.
Przepisy zmieniane metodą „na rosyjskiego szpiega”, a więc uzasadniane koniecznością walki ze znienawidzonym przez wszystkich agresorem, mogą się okazać ukrytym batem na krytyków obecnej władzy. Gdy w Ukrainie trwa wojna, niewielu zdecydowało się bowiem na krytykę takich pomysłów. Społeczne wzmożenie może umożliwić wprowadzenie boczny-mi drzwiami praw teoretycznie antyrosyjskich, a w praktyce antypolskich i antyobywatelskich.●
Eliza Rutynowska jest prawniczką FOR, aplikantką adwokacką przy Okręgowej Radzie Adwokackiej w Warszawie, doktorantką w Katedrze Prawa Karnego UW.

Najlepsza płyta Red Hot Chili Peppers w XXI wieku

DLA KAŻDEGO COŚ MIŁEGO

Potwierdzam zgodność towaru z opakowaniem. Płyta zatytułowana „Unlimited Love” naprawdę brzmi jak miłość do muzyki. Powrót gitarzysty Johna Frusciante do zespołu to zarazem powrót Red Hot Chili Peppers do formy.



Jarek Szubrycht

Na okładce płyty widnieje atrakcyjny neon, a więc siłą rzeczy musiało być robione w nocy. Proszę się tym nadmiernie nie sugerować – muzyka jest jasna i ciepła jak długie kalifornijskie dni. Tak, długa też jest.

GITARZYŚCI – SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

Red Hot Chili Peppers mają szczęście do gitarzystów. Hillel Slovak był żywiołem, niebezpiecznie zbliżającym płomień gry Hendrixa do funkowego dynamitu w stylu Parliament-Funkadelic. Była w tym energia, zabawa, ale i zaciętość. John Frusciante doskonale łączy precyzję, spokój i czystość partii rytmicznych z fajerwerkami solówek. Dave Navarro jak nikt zderza psychodeliczny rock z punkiem. Wreszcie Josh Klinghoffer, cudowne dziecko sześciu strun. Facet potrafi wszystko zagrać, czego dowodem lista (niepełna!) jego aktywności z pierwszej dekady XXI wieku: zaczynał od obwiesi z Butthole Surfers, potem towarzyszył na scenie Bec-

kowi i PJ Harvey i wreszcie na dłużej zaangażowali go Gnarl Barkley, którzy z eklektyzmu uczynili swój znak firmowy.

Red Hot Chili Peppers nie mają szczęścia do gitarzystów. Slovak przedawkował heroinę, zanim jego zespół odniósł sukces. Navarro przeleciał przez skład jak meteor, zostawiając po sobie niedoceniany album „One Hot Minute” – cóż, koledzy bali się ponoć, że skończy jak Slovak. Klinghoffer potrafił wszystko zagrać, ale niczego naprawdę ekscytującego nie umiał wymyślić, podobnie jak i jego starsi o pokolenie koledzy z zespołu. Dekada Klinghoffera, lata 2009-19, to Chili Peppers, na pewno nie Red Hot, lecz łagodne i najwyżej różowe. Syty czas stagnacji i nudy.

Jest jeszcze John Frusciante, który w Red Hot Chili Peppers pojawiał się i zniknął. Był współtwórcą oszalamiającego i zasłużonego sukcesu albumu „Blood Sugar Sex Magik” z 1991 roku, ale nie radził sobie z nagle uzyskanym gwiazdorskim statusem i uciekł w narkotyki, depresję oraz – na szczęście – solowe dziwadła. Ogarzył się, wrócił, nagrywał z kolegami rzeczy kochane przez publiczność (choćby płytę „Californication” z 1999 roku), ale z koncertu na koncert, z płyty na płytę brzmiał, jakby coraz bardziej się nudził wypracowaną przeciw z jego aktywnym udziałem formułą. I rzeczywiście, po drugim odejściu zanurkował w elektronikę, mierzył

• W miniony czwartek na Hollywood Walk of Fame w Los Angeles odsłonięto gwiazdę Red Hot Chili Peppers FOT. WILLY SANJUAN/AP

Red Hot Chili Peppers
*powinni być dumni z tej płyty.
Wypełnionej radością i luzem,
świetnie brzmiącej,
ciepło i organicznie,
ale przede wszystkim...
wiarygodnej*

Red Hot Chili Peppers



Unlimited Love

Warner

się z artystycznymi wyzwaniem, których nie mógłby realizować w zespole rockowym mierzącym publiczność w stadionach sześciennych.

NIE TYLKO DLA SZALIKOWCÓW

Nie musiałem słuchać nowej płyty, by odgadnąć, że powrót Frusciante to dobra wiadomość. Nie trzeba być szalikowcem Red Hot Chili Peppers, by to wiedzieć. Nie spodziewałem się jednak – single tego nie zdradziły – że to płyta aż tak dobra. Po kilku godzinach spędzonych z „Unlimited Love” jestem wręcz przekonany, że mamy do czynienia z najlepszym materiałem amerykańskiego kwartetu nagrany w obecnym stuleciu.

Opowieść o tym, co tym razem się udało, pozwolę sobie zacząć od przypomnienia, co nie wyszło na „Stadium Arcadium”, albumie, którym w 2006 roku Frusciante żegnał się z zespołem. Otóż była to płyta podwójna, dwugodzinna, składająca się z 28 piosenek. Niektórych naprawdę udanych, ale komu chciałoby się je wyluskiwać spośród wypełniaczy?

Sama myśl o ponownym przesłuchaniu tamtego materiału wydaje mi się przytłaczająca. A już gitarzyście ani trochę się nie dziwię – praca nad tym kolosem musiała tak go zmęczyć, że do kolejnych piosenek Red Hotów zabrał się 15 lat później.

„Unlimited Love” to również długa płyta, nawet za długa – gdyby tak z 17 numerów wybrać 10 najlepszych, byłaby wspólna – jednak jest to już propozycja nie tylko dla fanatyków zespołu, ale też dla zwykłych śmiertelników. Którzy w dodatku mogą przeżyć tę przygodę na różne sposoby. Ktoś lubi Red Hotów rozmarzonych, balladowych? Proszę bardzo, jest tu trochę tego, w dodatku ładne są te piosenki... ale zupełnie nie dla mnie.

Ja za to wielką przyjemnością słucham „Aquatic Mouth Dance”, drapieżnego, funk-rockowego, pięknie nasyconego dęciakami – czy mógłbym zamówić całą płytę z tak grającą sekcją i taką ilością dmuchania w rury? W „The Heavy Wing” Frusciante ma wyjątkowo ciężką łapę, w finale „These Are the Ways” też, a mnie łatwo kupić jęzgotem przesterowanej gitary. „One Way Traffic” jest tak żwawe i radosne, że mogłoby śmiało znaleźć się na „Blood Sugar Sex Magik”, gdzie obok „Give It Away”. Przy „Poster Child” gęba sama mi się cieszy – od tego funku w podkładzie, od tego rapu Kiedisa i od tekstu, który jest zabawną litanią do wszystkich świętych dwudziestowiecznej muzyki. Motörhead obok George’a Clintona, The Clash pod ręką z Led Zeppelin, Talking Heads i The Sex Pistols, Prince i MC5... Cóż, polknąłem haczyk i jestem z siebie dumny.

SOUNDTRACK DO ŚWIATA, KTÓREGO NIE MA

Red Hot Chili Peppers powinni być dumni z tej płyty. Wypełnionej radością i luzem, świetnie brzmiącej, ciepło i organicznie (w reżyserce studia znowu Rick Rubin), ale przede wszystkim... wiarygodnej. To już nigdy nie będzie ten niebezpieczny, szelmowski zespół z lat 80., nigdy już nie będzie wytaczał nowych ścieżek, jak w latach 90., a nawet jeśli się uda, ja tego i tak nie usłyszę, bo nie będę miał już nigdy 20 lat.

Najlepsze, co Red Hot Chili Peppers mogli zrobić w 2022 roku, to zabrzmić na tyle wiarygodnie, by uzasadnić tę niewyczerpaną miłość z tytułu płyty – i zadanie zostało wykonane. „Unlimited Love” może i składa się z już wykorzystanych nut, wcześniej wyspiewanych słów i rutynowych gestów, ale zarazem naprawdę brzmi jak miłość do muzyki, do życia i ludzi. Brzmi jak ścieżka dźwiękowa do świata, w którego istnienie wątpię, ale z całych sił chciałbym się mylić. Niczego lepszego nie mogłem oczekiwać. ●

Iga Świątek przebija sufit

Staje się ulubioną bohaterką kobiet, które dzięki niej odkrywają sport i tenis. – Mówi się, że nigdy nie dostanie takich pieniędzy jak Amerykanka, wiem. Ale Serb może, a Polka nie? – pyta menedżerka Igi Świątek.

Radosław Leniarski

Iga Świątek wygrała finał turnieju WTA 1000 Miami Open, pokonując w finale Naomi Osakę 6:4, 6:0. W ten sposób stała się w jednym rzędzie ze Steffi Graf, Kim Clijsters, Wiktorią Azarenką – jedynymi triumfatorkami Sunshine Double, czyli dwóch rozgrywanych po sobie prestiżowych turniejów w Indian Wells i Miami. Wygrała trzeci z rzędu turniej WTA 1000 oraz 17. z kolei spotkanie.

Przed nią mecze na kortach ziemnych, jej ulubionych. Od poniedziałku oficjalnie będzie numerem jeden w rankingu WTA. Fachowcy wróżą, że długo nim pozostanie.

ROZMOWA Z

PAULINĄ WÓJTOWICZ

menedżerką Igi Świątek

RADOSŁAW LENIARSKI: Iga zaskakująco szybko stała się numerem jeden w rankingu WTA, choć oczywiście spodziewano się, że w pewnym momencie kariery będzie na szczycie. Czym różni się marketingowo tenisistka z numerem cztery od numeru jeden?

PAULINA WÓJTOWICZ: Przede wszystkim dziewczyn w szczycie światowego tenisa jest dużo, a numer jeden, jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało, jest tylko jeden. Awans na naj-

wyższe miejsce jest jednocześnie niejako nadaniem Idze roli liderki światowego tenisa na korcie i często poza nim. Numer jeden ma większą tzw. ekspozycję w ramach działań komunikacyjnych każdego turnieju, w którym startuje, bo organizatorzy najczęściej i najwięcej mówią o najwyższej rozstawionej zawodniczce. W marketingu powiedzielibyśmy, że jest najintensywniej komunikowana jako faworytka do wygranej w danym turnieju. To najczęściej oznacza też grę na największych kortach, a tym samym – gwarancję emisji meczu w telewizjach i platformach streamingowych na całym świecie, i to często już na bardzo wczesnym etapie turnieju. Długo by wymieniać wszystkie korzyści wynikające z zajmowania tej pozycji.

Gdy rozmawialiśmy po zwycięstwie Igi Świątek w Rolandzie Garrosie, mówiła pani, że po wygranej będzie musiała wynająć magazyn dla przysyłanych gadżetów z firm, które chciałyby nawiązać współpracę z Igą. Czym różni się pozycja rynkowa młodej, sensacyjnej triumfatorki Rolanda Garrosa od najlepszej tenisistki na świecie?

– Swoim osiągnięciami od wygrania Rolanda Garrosa w 2020 r. Iga potwierdziła i przypieczętowała swój ogromny potencjał sportowy i pozycję w świecie globalnego tenisa. Po roku z kawkami nikt nie wątpi, że ma ogromne możliwości i że wygranie Wielkiego Szlema było naturalną kolejną rzeczą w rozwoju



jej talentu. Wygrała w tym sezonie już trzy duże turnieje, sięgnęła po Sunshine Double. Zasłużyła na miejsce numer jeden w rankingu i stała się jedną z tenisistek wymienianych przez ekspertów w przewidywaniach co do tego, kto zdominuje kobiece rozgrywki tenisowe na kolejne lata. A doskonale wyniki sportowe to świetna widoczność i gwarancja wyników marketingowych. W sporcie trudno o długofalowy skuteczny marketing bez wyników sportowych, dlatego na karierę Igi patrzymy całościowo i dbamy o równowagę, tak aby priorytetem był jej rozwój sportowy. Gdy jest dobrze na korcie, to dużo łatwiej o to, aby było równie dobrze poza nim.

Czy w związku z młodym wiekiem i zmianą statusu Igi w świecie tenisowym dopuszczalne są kontraktowe zmiany w podpisanych kilkuletnich umowach?

– Standardem jest, że umowy przedłużane lub renegecjonowane są dokładnie na takich zasadach, jakie przewidują ich zapisy, które temu właśnie służą. W umowach najlepszych zawodniczek znajdują się też oczywiście duże bonusy za wygranie największych turniejów czy zajmowanie konkretnej pozycji w rankingu, w tym numeru jeden. Największe są podstawy kontraktowe, ale bonusy za wyniki to również znaczące kwoty.

Często słyszę, że dla marketingowców młody wiek, rok urodzenia z dwójką z przodu, to Święty Graal. Jak wpływa młody wiek Igi jako numeru jeden na postrzeganie jej przez rynek?

– Iga to przedstawicielka pokolenia urodzonego po 2000 roku, a więc w oczach marketerów daje ona możliwości dotarcia do tej grupy docelowej, znów przepraszam za terminy z mojego świata, ale one dobrze go opisują.

Jednocześnie trzeba pamiętać, że wśród grup docelowych Igi znajdują się kibice tenisa, a w tej grupie zazwyczaj większość stanowią osoby starsze niż Iga i wciąż przewagę mają w niej mężczyźni. Wartość ekwiwalentu reklamowego generowanego przez Igę jest imponująca i liczymy ją w miliardach złotych rocznie – i to tylko jeśli chodzi o jej obecność jedynie na łamach polskich mediów.

Równolegle Iga bardzo naturalnie buduje relację z fanami w swoich mediach społecznościowych, w których kibice nagradzają ją niesamowitym zaangażowaniem, reagując na jej publikacje – udostępniając je, komentując czy zaznaczając „polubienia”. I wreszcie Iga jako młoda kobieta dociera coraz szerzej także do kobiet, które chociażby w ubiegłym roku miały szansę poznać Igę bliżej dzięki jej okładkowym wywiadom w magazynach.

Wydawać by się mogło, że kontrakty zawierane przez młodą, awansującą tenisistkę, świadomą swojej rosnącej wartości, nie powinny być długie. Jak jest w rzeczywistości?

– Jest odwrotnie. W relacjach ze sponsorami Igi stawiamy na współpracę długofalową. To strategiczne podejście wynikające z tego, że o karierze Igi myślimy w perspektywie długofalowej z uwagi na jej młody wiek i ogromne możliwości sportowe i pozasportowe. Mi-

Iga Świątek nie dała szans Naomi Osace

Gotowa na wielkie trofea

Pierwszy gem był wybuchowy – siedem razy równowaga, 11 minut, cztery asy Osaki i dwa obronione przez nią break-pointy – ale zwiastował wielkie emocje tylko na pierwszy rzut oka.

Wnikliwsze spojrzenie kazało konstatować, że Japonka z trudem utrzymała serwis, a pierwsze akcje pokazały, że nawet wypoczęta jest znacznie mniej zwrotna niż 20-letnia Polka. Nowa liderka rankingu, która grała też o to, by zostać czwartą tenisistką w historii w klubie Sunshine Double, czyli w elitarnej grupie tych, które w jednym sezonie wygrały turnieje w Indian Wells i Miami (są w kalendarzu obok siebie). Wcześniej zrobiły to Steffi Graf, Kim Clijsters i Wiktorija Azarenka. Świątek grała też o 17. zwycięstwo z rzędu.

Niedawno, choć mnóstwo turniejów temu, Naomi Osaka miała jeszcze dłuższą serię wygranych. Pod koniec 2020 i na początku 2021 r. dobila do 23. Triumfowała w US Open i później w Australian Open. Miała 23 lata, a najlepiej zarabiającą sportsmenką była już rok wcześniej – zarobiła na kor-

cie i – przede wszystkim – dzięki kontraktom reklamowym w 2019 r. prawie 40 mln dol. Podczas US Open wychodziła na kort w maskach z nazwiskami czarnoskórych ofiar policji w Stanach Zjednoczonych, jej pozycja w świecie sportu potężniała.

Tymczasem kilkanaście miesięcy później jej awans do finału turnieju w Miami należało uznać za nieledwie sensacyjny, bo też ogromne były problemy emocjonalne czarnoskórej Japonki w ostatnich kilku miesiącach, depresja atakowała ją od kilku lat. Na mecz z Igą Świątek wyszła jako 77. tenisistka rankingu.

Już na samym początku meczu Osaka zobaczyła, że do wygrywania gemów może trzeba będzie co chwilę serwować po cztery asy. A każdy słabszy serwis spotka się z mocną odpowiedzią rywalki, która w ostatnich tygodniach returnuje wręcz diabelsko.

Japonka straciła podanie już w piątym gemie, w siódmym znowu musiała obronić break-pointa (zrobiła to). I znów na pierwszy rzut oka miała marne widoki na resztę meczu. Ale

ona doskonale pamiętała, jak wyczerpany jest organizm tenisistki po niezwykle długiej serii wygranych. I jak trudno wejść do grupy Sunshine Double. Przed finałem była pod wrażeniem dyspozycji sportowej Świątek, ale powiedziała też coś interesującego w kontekście finału. – Pamiętam, jak wygrałam w Indian Wells [w 2018 r.] i byłam niemal martwa ze zmęczenia po tym – wspominała. – I nagle widzę wtedy, że w Miami w pierwszej rundzie gram z Sereną Williams. Pomyślałam: No pięknie... [wtedy mogła się obawiać, że Williams nawet tuż po porodzie będzie niezwykle mocna; nie była, Osaka wygrała, odpadła w II rundzie].

A Świątek po półfinałowym zwycięstwie w Miami z trudem odpowiadała na pytania. Osaka w półfinale zaserwowała natomiast 18 asów (rekord tego sezonu w kobiecym tenisie). A co równie ważne, Japonka w Miami mieszkała przez wiele lat, tu nauczyła się poważnego tenisa, jest przyzwyczajona do upałów, wiatru i wilgotności na Florydzie. W sobotę było prawie 30 stopni, policzki Świątek bardzo szybko się „zapaliły”.

W pierwszym secie nasza reprezentantka nie dała się dogonić, wygrała 6:4. Gdy w drugiej partii wyszła na prowadzenie 3:0, w Osakę nie wierzył już chyba żaden jej kibic.

Świątek wygrała 6:4, 6:0. W Miami nie przegrała ani jednego seta. W pięciu poprzednich finałach, w których grała – również. W tym roku wygrała już turnieje w Miami, Indian Wells i Dausze.

W pomeczowym wywiadzie Świątek mówiła, że jest niezwykle zmęczona, ale też dumna, że „była w stanie biegać do każdej piłki”. Gdy zapytano ją na koniec: „To idziemy po trofeum? Jesteś gotowa?”, postanowiła odpowiedzieć znaną ripostą: „Urodziłam się gotową”. Zawahała się jednak, zatrzymała przed ostatnim słowem, wrzucając zamiast „gotowa” nieco łagodniejszy wyraz. Jakże niepotrzebnie.

Z pucharem w rękę powiedziała natomiast m.in.: – Mam nadzieję, że gdy będę przemawiać w takich okolicznościach kolejny raz, Ukraina będzie już wolna. ●

Marek Deryło



nimum długości współpracy to obecnie dwa lata, większość to umowy trzyletnie.

Wspomniała pani o grupie kobiet, że Iga dobrze się w niej sprawdza. Dlaczego?

– Ona jest typem „księżniczki XXI wieku”, czyli kimś całkowicie przeciwnym do stereotypowych skojarzeń księżniczki. Sumiennosc, determinacja, odwaga, konsekwencja w dochodzeniu do wyznaczonych celów, aktywnosc społeczna, udział w akcjach charytatywnych... Iga mówi otwarcie o ważnych dla niej rzeczach, ale też o rzeczach ważnych dla milionów kobiet. Przypomnę o tym, że wspomniała o zespole bolesnego miesiaczkowania po jednym z meczów. Potem przychodziły do niej, do nas inne dziewczyny, które mówiły, że to wspaniale, że detabuizuje się

tę sprawę, przecież dotyczy bardzo wielu tenisistek. Zresztą widzimy taki trend w tenisie kobiecym, a nawet szerzej – w sporcie kobiecym. To trend wyzwolenia – kobiety w sporcie coraz częściej i odważniej mówią o ważnych dla siebie sprawach i odpowiednio działają. W tenisie zawsze większą grupą zainteresowanych byli mężczyźni, a my widzimy w naszych badaniach, że różnica się zacie- ra. Iga wyrównuje ten stosunek.

A może budzi większe zainteresowanie kobiet z powodu jej młodości. Czasem leż na korcie. Emocji. W kobietach budzi się instynkt macierzyński...

– Nie, to nie to, choć rzeczywiście Iga wzbudza emocje. Ale gołym okiem widać, że ma zdolności przywódcze, jest odważna w przekazywaniu swoich opinii, więc z budzeniem instynktów macierzyńskich – w takim powszechnym wymiarze – raczej pan nie trafił. Iga szybko dojrzewa do roli liderki.

Chyba musi panią rozpierać duma, że zajmuje się pani najlepszą tenisistką na świecie. Do niedawna dominowali giganci, koncerty agencyjne, różne IMG, Octagony...

– I ten trend się zmienia.

Rynek pokazuje, że wielkie agencje nie spełniają wystarczająco dobrej roli, jeśli chodzi o indywidualne podejście do osób, którymi się zajmują. Wielu tenisistów – Rafael Nadal, Roger Federer – tworzy swoje własne firmy bądź opiekują się nimi fachowcy, którzy dla nich odeszli z wielkich agencji. To między innymi przypadek Naomi Osaki. Iga jest osobowością, ma wielki potencjał rozwoju i zasługuje na pracę wyłącznie dla niej.

Mówi się, że Iga – jako sportowiec z Polski – ma mniejszą szansę wybiecia się na szczyt także pod względem zarobków.

– Tak, i że nigdy nie dostanie takich pieniędzy jak Niemka, Brytyjka czy Amerykanka. Tymczasem ja chcę doprowadzić Iggę do pierwszej piątki, jeśli chodzi o zarobki. Polska jest krajem środka Europy, to jest w zasięgu. Skoro Serb [Novak Djoković] jest jednym z najlepiej zarabiających na świecie, ba, jest na drugim miejscu pod względem zarobków spoza kortu za Federerem, to czemu nie? Dlaczego ten sukces miałby być dla Igi zakazany, dlaczego Novak – tak, Iga – nie? Jestem zdeterminowana, aby również ten przełom był udziałem Igi. My przebijamy sufity. ●

• Iga Świątek z trofeum za zwycięstwo w Miami. W tle Naomi Osaka

FOT. WILFREDO LEE / AP

Wojciech Kuczok



Trzeba wygrać „grupę śmierci”

Jestem zachwycony tym, jak wzrosło morale futbolowe nad Wisłą po wyeliminowaniu Szwedów. Wystarczyło pół dobrze zagranego meczu, żebyśmy nie zauważyli, że w mundialowym losowaniu trafiła nam się grupa śmierci.

Nikt rąk nie załamuje, Boniek pisze „easy” zamiast „keep calm”, większość uważa, że mogło być gorzej. Otóż nie mogło: tylko my trafiliśmy na dwie ekipy z pierwszej dziesiątki aktualnego rankingu FIFA, a na dobitkę dostajemy Arabów, którzy zagrają praktycznie u siebie. W dodatku wedle wszelkiego prawdopodobieństwa trzeba tę grupę wygrać, żeby w kolejnej rundzie nie wpaść na mistrzów świata.

W ciągu 45 minut polski kibic wpadł z przygnębienia w fazę euforyczną – zamiast jęczeć, że mamy przegwizdane, mówi z niejaką nadzieją, że będzie ciekawie. Ja tam nie mam nic przeciw dwubiegownikce – zawsze to lepiej, niż mieć permanentną depresję.

Czesław Michniewicz to guślarz, raczej jasno- niż czarnoksiężnik: co sobie wymarzy, to dostaje. Awans to był cel, trenerowi z opinią wybitnego zadaniowca nie wypadało marzyć o czymś, na co miał wpływ, ale Argentynę przyciągnął do nas już w sposób nadprzyrodzony. Sprawia wrażenie faceta, który wie, czego chce, więc o plan na wymarzonego przeciwnika powinniśmy być spokojni. Albicelestes chcieli z nami zagrać towarzysko, teoretycznie może im się to przytrafić, jeśli przed ostatnią serią będą już mieli awans w kieszeni. Lepiej nie wystawiać Messiego przeciw Góralskiemu bez najwyższej konieczności.

Przypadek Jacka Góralskiego to skądinąd najlepszy dowód na to, że mamy selekcjonera wybitnie fartownego. Faul na Szwedzie był tyleż bandycki, co instynktowny, to było widać po zachowaniu naszego reprezentanta, drzemie w nim bestia silniejsza niż rozum – minęło 38 minut jego gry w kadrze, odkąd dostał ostatnią czerwoną kartkę, i po prostu nie mógł się oprzeć. Za to zagranie większość sędziów dałaby czerwień,

Czesław Michniewicz może być dla mnie pierwszym grzesznikiem Rzeczypospolitej, dopóki wygrywa z lepszymi

dziewięciu na dziesięciu by poszło osobiście sprawdzić zapis VAR. Mogliśmy, a nawet powinniśmy całą drugą połowę grać w osłabieniu. Tymczasem za krewkiego pomocnika wchodzi Krychowiak, na dzień dobry załatwia nam karnego, a potem Danielson i Zieliński robią rekonstrukcję akcji sprzed półwiecza, kiedy Lubański dobił Anglików po błędzie Bobby’ego Moore’a.

Czesław Michniewicz po siedemset jedenastokroć zasłużył na amnestię, choć nie amnezję – w ekstraklasie swego czasu dewiza Janusza Wójcika „tu nie ma co trenować, tu trzeba dzwonić” była gwarantem sukcesu, w kadrze narodowej to nie zadziała.

Ale działały inne metody, ze szczegółową analizą banku informacji na czele, które przez lata selekcjoner udoskonalił, jako jedyny spośród polskich trenerów regularnie pokonując wyżej notowanych rywali zarówno na poziomie kadry młodzieżowej, jak i z Legią w pucharach. Zimą w felietonie „Dawać Czesława!” pisałem, że trzeba nam teraz kogoś, kto zrozumie, że skoro jesteśmy za słabi, żeby przejść baraże, musimy się przez nie przeczołgać. O dziwo przeszliśmy z podniesioną głową, za to Czesław postanowił przeczołgać kilku dziennikarzy. Mnie to nie oburza, wolę mieć trenera skutecznego niż kulturalnego.

Michniewicz może być dla mnie pierwszym grzesznikiem Rzeczypospolitej, dopóki wygrywa z lepszymi. Nie demonizowałbym jego arogancji; po awansie ubył stresu i przybyło bąbelków, wszyscyśmy widzieli, jak jeszcze na murawie Kamil Grosicki połyka Mumma jak z fontanny, szampańskie nastroje musiały się udzielić także coachowi. A potem wzięty na spytki przez bezpardonową z założenia ekipę Kanału Sportowego dał się podpuścić i dostosował do konwencji. Nie każmy mu przepraszać nazajutrz po tym, jak dał nam mundial!

Losowanie na papierze fatalne, wcale takim w rzeczywistości być nie musi. Niby Meksyk zawsze wychodzi z grupy, a my nigdy z niej nie wychodzimy – ale to się zanadto dobrze rymuje, porzućmy fatalizm, jesienią nadarzy się idealna okazja, by obie serie przerwać. Największą gwiazdą drużyny meksykańskiej jest Hirving Lozano, rezerwowy w Napoli, gdzie nasz Piotr Zieliński cieszy się cokolwiek poważniejszą renomą. A z Saudami mamy obowiązek wygrać choćby i w Mekce. ●

wyborcza.pl

• Więcej o sporcie ► Wyborcza.pl/sport

ZAPISZ SIĘ NA CODZIENNY NEWSLETTER

• Wyborcza.pl/newslettery

Ranking WTA
Liderka na długo, ale teraz odpoczynek

Iga Świątek po trzech wygranych turniejach z rzędu przez dwa tygodnie odsapnie od turniejowego grania. Polka wycofała się z turnieju w Charleston. Wątpliwości co do tego, kto jest w tej chwili najlepszą tenisistką na świecie, Iga Świątek rozwiewa z tygodnia na tydzień. Wygrała trzy z rzędu turnieje rangi WTA 1000, bardziej prestiżowe od nich są tylko cztery w roku imprezy wielkoszlemowe. Triumfy w Dausze, Indian Wells i Miami – w tym ostatnim w finale rozbiła Naomi Osakę 6:4, 6:0 – zbiegły się z sensacyjną decyzją o zakończeniu kariery przez liderkę rankingu WTA Ashleigh Barty. Australijka poprosiła o skasowanie jej dorobku z rankingu. W połączeniu ze zwycięstwem w Indian Wells i Miami dotychczas drugiej w zestawieniu Świątek oznacza to, że przewaga Polki nad rywalkami – teraz druga będzie Barbora Krejčíková – sięgnie aż 1678 pkt. Pierwsze miejsce zostało więc „zabetonowane” przez Świątek na co najmniej kilka tygodni.

Dużymi turniejami w Indian Wells i Miami, w których polska tenisistka jako czwarta w historii sięgnęła po Sunshine Double, kończy się okres gry na twardej nawierzchni. Teraz rywalizacja przenosi się na mączkę – tam gra się nieco inaczej, wolniej, piłka odbija się niżej, by ją dopaść, często stosuje się doślizg. Iga Świątek lubi takie korty, to na ceglany Rolandzie Garrosie wygrała swój jedyny do tej pory turniej wielkoszlemowy. Sezon na kortach ziemnych dla światowej czołówki kobiecego tenisa rozpocznie się w poniedziałek turniejem w Charleston. Tam miała zagrać także Świątek, ale po triumfie w Miami poinformowała, że wycofuje się ze zbliżającej się imprezy z powodu kontuzji ręki. „Bardzo mi przykro, że wycofuję się z Charleston, ale po maratonie trzech turniejów, w których grałam w finale, doznałam niegroźnego urazu ręki, który wymaga odpoczynku. Miałam nadzieję, że tam rozpocznę sezon na mączce, ale niestety muszę poczekać, aby zagrać

w tym wspaniałym turnieju z dużymi tradycjami. Mam nadzieję, że uda się w przyszłości” – taki komunikat ze strony Polki przekazali organizatorzy imprezy. To oznacza, że teraz Świątek wróci do Europy. 15 i 16 kwietnia w Radomiu wystąpi w meczu kwalifikacyjnym do turnieju finałowego Pucharu Billie Jean King z Rumunią, a potem pojedzie do Stuttgartu na turniej Porsche Tennis Grand Prix (WTA 500). Na przełomie kwietnia i maja wyjdzie z kolei na kort w Madrycie (WTA 1000). ● Marcin Wesolek

Ranking WTA
od 4 kwietnia

1. Iga Świątek (Polska)	6711
2. Barbora Krejčíková (Czechy)	5033
3. Paula Badosa (Hiszpania)	4970
4. Maria Sakkari (Grecja)	4705
5. Aryna Sabalenka	4657
6. Anett Kontaveit (Estonia)	4511
7. Karolina Plíšková (Czechy)	4197
8. Danielle Collins (USA)	3152
9. Garbiñe Muguruza (Hiszpania)	3125
10. Ons Jabeur (Tunezja)	2975

A jednak się kręci

Oni zastąpią FIFA, gdy zostanie rozwiązana

Stec



Zanim członkowie Międzynarodowej Federacji Piłkarskiej rozlosowali mundialowe grupy, postanowili ponaprawiać trochę świat.

Pochłonięci celebrowaniem przelomowego triumfu nad Szwedami mogliśmy przeoczyć, że obradująca na kongresie w katarskiej stolicy FIFA dołączyła rosyjski do urzędowych języków organizacji – dotąd należały do nich angielski, francuski, hiszpański i niemiecki, dojdą jeszcze arabski i portugalski. Decyzja byłaby akceptowalna, w końcu grażdanką posługuje się ćwierć miliarda ludzi, gdyby nie oczywisty kontekst. Do prośby Rosji przychyłono się, kiedy codziennie odkrywamy skalę putinowskich zbrodni wojennych i FIFA powinna ją raczej wyrzucić ze swoich szeregów. Porażające wycucie chwili, aż do głowy pcha się podejrzenie, że oni to robią z premedytacją, dla perwersyjnej uciechy przypominania zbulwersowanym nadwrażliwcom, iż wszystko im wolno.

Jeśli komuś nie eksplodował jeszcze czujnik wykrywający poziom bezduszności, podrzucam inny element układanki: otóż rosyjski postulat rozszerzenia listy oficjalnych języków przedstawiono FIFA akurat 24 lutego, w dniu inwazji na Ukrainę. Zbieg okoliczności jakże zgodny z putinowską doktryną, wedle której nic szerszego się nie dzieje, po prostu wojsko zaprowadza porządek na ogarniętym nazistowskim chaosem terytorium sąsiadów.

Moskiewscy wysłannicy Aleksiej Sorokin oraz Aleksandr Alajew przylecieli więc na kongres FIFA w dobrych nastrojach, założyli wytworne garnitury, czerpali z przepychu katarskich wnętrz – tymczasem delegacji ukraińskiej nie było, rządzący tamtejszą federacją Andrij Pawelko przysłał wideo, na którym opowiada, wciśnięty w kamizelkę kuloodporną, o grających w piłkę rodakach zabijanych przez wrogą armię. W film wmontował też przerażające sceny z unicestwianych miast, ale gospodarze futbolowego rautu na szczycie je wycięli, by nikomu z zaproszonych nie zrobiło się przykro.

Krwawych obrazów nie obejrzeliby także Sorokin i Alajew, którzy odnieśli pełne dyplomatyczne zwycięstwo. Skarżyli się reporterom na krzywdę wyrządzoną rosyjskim piłkarzom usunięciem z rozgrywek i przyjmowali komplementy za perfekcyjną organizację poprzedniego, ufundowanego przez Kreml mundialu, który miał tylko jedną małą wadę, mianowicie „nie rozwiązał wszystkich problemów ludzkości” ani nawet, jak wzdychał Gianni Infantino, „problemów regionu”. Szef FIFA dbał również, by żadnym zaimkiem nie zasugerować, rozprężyć tę bandę na cztery wia-



• Gianni Infantino podczas losowania grup tegorocznych mistrzostw świata FOT. DARKO BANDIC / AP

Nawet średnio rozgarnięte dziecko wie, że szef FIFA – każdy, zawsze, z definicji – musi odejść, instytucja jest nieodwracalnie skorodowana korupcją i w ogóle moralnie skompromitowana

wać, kto kogo napadł i masakruje cywilów, paplał tylko, że wszyscy żyjemy w świecie agresywnym oraz podzielnym, przepojonym lękiem przed globalnym konfliktem, że musimy nauczyć się być razem, że kongres sam w sobie stanowi świadectwo – zgoda jest możliwa.

Szwajcar przemawiał w tonie typowym i dla siebie, i dla poprzedników. Podniósł, powołując się na Mandelę oraz Gandhiego, zostawiając nas z przecuciem, iż wkrótce ujrzy w lustrze kolejne wcielenie św. Franciszka. To specyficzna cecha prezesów FIFA, którzy po objęciu stanowiska zaczynają nieść posłanie pokoju i miłości bliźniego, brną w narastający patos i odrywają się od ziemi, odlatując coraz wyżej i wyżej. Infantino pouczył jeszcze w Dausze politycznych przywódców, by zechcieli porozumienia nawet z „najgorszym wrogiem”, znów zrównując, choć nie wprost, obie strony ukraińskiej wojny.

Do hipokryzji futbolowych prominentów przywykliśmy, nawet średnio rozgarnięte dziecko wie, że szef FIFA – każdy, zawsze, z definicji – musi odejść, instytucja jest nieodwracalnie skorodowana korupcją i w ogóle moralnie skompromitowana. Ilekroć Rosjanie zorganizują dzięki łapówkom mundial albo rozpętają piekło w Ukrainie, płonąca gniewem opinia publiczna żąda, by FIFA rozwiązać, rozprężyć tę bandę na cztery wia-

try, urządzić piłkę na nowo. Nikt jednak nie podaje konkretów. Nie wiadomo, jak mielibyśmy ów nowy, wspólny świat skonstruować.

To pytanie fundamentalne, bo wbrew powszechnej intuicji Infantino nie dopisał rosyjskiego do listy języków urzędowych sam. „Za” głosowało 187 krajów, 17 się wstrzymało, cztery wyraziły sprzeciw (w tym Polska). Arytmetyka podpowiada, iż miażdżąca większość także delegatów z państw zachodnich – choćby unijnych – nie dostrzegła w spełnieniu postulatów Rosjan akurat teraz, podczas transmitowanej na żywo hekatomb w Ukrainie, zgrzytu. Nikt też nie wstał i nie oznajmił: „My, przedstawiciele kraju X, nie życzymy sobie tu przedstawicieli zbrodniczego reżimu. Wyprośmy ich albo to my wychodzimy”. Wszyscy pokornie słuchali Infantino, który tłumaczył: musimy łączyć, nie dzielić, to obowiązek środowiska piłkarskiego.

Innymi słowy, gdyby nawet jutro wygnać jego i całą świtę lub zlikwidować FIFA, władzę przejęliby mniej więcej tacy sami ludzie. Skąd wziąć innych? Wołanie o uzdrowienie FIFA jest w istocie tęsknotą za lepszym światem, bo aktualny działa średnio, nie zjednoczył się nawet w potępieniu

Rosji – mniej lub bardziej sprzyjają jej Chiny, Indie czy dyktatury rozrzuczone wokół Zatoki Perskiej, NATO obwiniają o wojnę niektóre rządy afrykańskie, neutralność zachowuje Brazylia etc. Futbol tylko odbija rzeczywistość, nieprzypadkowo w Dausze wątpliwości wokół mundialu w łamiącym prawa człowieka Katarze wyraziła jedynie przedstawicielka Norwegii, kraju śpiącego na gazie ziemnym i mającego zabezpieczoną przyszłość.

Innych nie stać, by odwrócić się od wszystkich, którzy postępują niegodziwie, stąd bierze się słynne amerykańskie motto: „Owszem, on jest sukinsynem, ale to nasz sukinsyn”. Dlatego FIFA mogłaby zostać zastąpiona tylko przez instytucję identyczną, alternatywą jest rozłam – grupka pragnących dobra, prawdy i piękna idealistów tworzy kodeks etyczny, wpuszcza wyłącznie państwa spełniające jego warunki.

Nie ludźmy się: rewolucjonści byłiby w mniejszości, i to znikomej. Zresztą obecna formuła się opłaca, według Infantino czteroletni zysk FIFA przekroczył rekordową barierę 7 miliardów dolarów. Do podziału między wszystkich członków rodziny, również Rosję. ●

Rafał Stec

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utiko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: pomoc@wyborcza.pl 22 555 54 55, 519 255 455
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: (12) 629 53 11, kolportaz@wyborcza.pl

Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych:
facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA

Agora SA, ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Zastępczyni dyrektora wydawniczego:
Joanna Mosiej-Sitek
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA

Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

